MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 10. WARSZAWA, 28 LUTEGO 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

WSZECHWŁADZA PAŃSTWA

Rząd wniósł ostatnio do sejmu szereg bliźniaczo do siebie podobnych projektów ustaw, z których dwie: ustawa o ustroju szkolnym i o zgromadzeniach zostały już uchwalone w trzeciem czytaniu na komisjach, a inne, jak mała ustawa samorządowe, ustawa o ustroju adwokatury i in. czekają jeszcze na załatwienie.

Wspólną cechą wspomnianych projektów jest przesadna dążność do poddania całego życia zbiorowego władzom administracyjnym, wypływająca z naiwnej wiary we wszechmoc państwa.

Odnosi się czasem wrażenie, że piłsudczycy, tracąc coraz bardziej grunt pod nogami, chcieliby ratować swe pozycje zapomocą papierowych ustaw. Zamiast dobywać na wierzch zdrowe pierwiastki społeczno-narodowe, rządy pomajowe całą energję zużywają na walkę z niezależnemi ośrodkami życia narodowego, na krępowanie inicjatywy społecznej. Z tej doktryny, że państwo wszystko może, że powinno wszędzie zaglądać, regulując najdrobniejsze nawet szczegóły życia zbiorowego i jednostkowego, wyrosły najnowsze pomysły prawne, które chcą usankcjonować dotychczasową praktykę władz administracyjnych. Są to nie ustawy już, ale nieograniczone pełnomocnictwa dla rządu.

Typowym przykładem z tej dziedziny jest postanowienie, zawarte w ustawie o ustroju szkolnym, że niezależnie od uprawnień, nadanych ministrowi w poszczególnych artykułach wspomnianej ustawy, — minister W. R. i O. P. ma prawo wydawać w drodze rozporządzeń przepisy wykonawcze, uzgodniające i przejściowe, które okażą się niezbędne dla wprowadzenia w życie nowego ustroju szkolnictwa i przystosowania do niego dotychczasowych przepisów ustawowych.

Wschodnią przesadą grzeszą również przepisy, normujące nadzór władz administracyjnych nad życiem samorządowem i szkolnictwem prywatnem. Badanie „prawomyślności" przedstawicieli samorządu i kierowników oraz nauczycieli szkół prywatnych posuwa się tak daleko, że tylko „lojalni" i ślepo posłuszni jednej, rządzącej partji ludzie będą mogli zająć stanowiska w tych gałęziach życia.

Niemniej doniosłą jest ustawa o zgromadzeniach, która niezadługo zacznie obowiązywać. Duch policyjny, którym jest przepojona, staje się w pełni zrozumiały dopiero na tle innych poruszonych wyżej przez nas projektów ustaw. Ta sama bezceremonjalność i wszechwładza administracji, jaka ożywia tamte projekty, cechuje również ustawę o zgromadzeniach. Dalecy jesteśmy od tolerowania swawoli i anarchji w państwie, wszelkie ruchy odśrodkowe winny być tłumione; uważamy jednak, że trzeba ująć w żelazne karby prawa nietylko postępowanie obywateli, ale i władz administracyjnych. Wtedy wyrośnie szacunek dla państwa, oparty nietylko na przymusie. Tymczasem ustawa o zgromadzeniach zdaje się zapominać o koniecznym umiarze, jaki powinien cechować nadzór władz nad życiem społecznem narodu.

W myśl art. 9 władze mogą — według swobodnego uznania — nie dopuścić do odbycia zgromadzenia, jeżeli „zagrażałoby bezpieczeństwu, spokojowi lub porządkowi publicznemu".

Terminy „bezpieczeństwo, spokój i porządek publiczny" są tak giętkie, że można je dowoli interpretować. Wiemy, że władze pomajowe nie cier-

piały na brak pomysłowości, jeżeli szło o złośliwe tłumaczenie wyraźnego brzmienia ustaw, cóż dopiero mówić o tak elastycznych pojęciach. W ciągu jednego niemal dnia pojęcie bezpieczeństwa ulegało zmianie. Sala, w której odbyli zgromadzenie sanatorzy, zaczynała nagle zagrażać bezpieczeństwu, o ile w niej mieli radzić narodowcy.

Przewodniczący zgromadzenia został wyposażony w duże prawa, ale ni ema możności korzystania ze swych uprawnień, ponieważ większość rządowa odrzuciła wniosek, pozwalający przewodniczącemu żądać od przedstawiciela władz usunięcia z zebrania osób, udaremniających obrady.

Przedstawiciel władzy ma nadto prawo rozwiązać zgromadzenie publiczne lub zebranie (t. j. zgromadzenie niepubliczne), o ile stwierdzi lub dowie się, że zagraża „bezpieczeństwu, spokojowi lub porządkowi publicznemu". Doświadczenie ostatnich lat uczy, w jaki sposób umiano wprowadzać, pod rękę niemal, awanturników na zebranie, a potem je rozwiązywać, ponieważ spokój został zakłócony. Nie są również wyjęte z pod opieki władz zebranie towarzyskie, familijne i szkolne. Udało się tylko uratować zgromadzenie akademickie od interwencji policji.

Za przekroczenie przepisów ustawy o zgromadzeniach grożą surowe kary. Cięższe występki karane będą grzywną do 1.000 zł. (w projekcie rządowym było do 3.000 zł.) i aresztem do 6 tygodni, a lżejsze — grzywną do 500 zł. lub aresztem do 2 tygodni. Orzekać o wysokości kary mają, w myśl ustawy, władze administracyjne, a nie sądy, jak chciał Klub Narodowy.

W ten sposób można będzie zrujnować każdego niewygodnego obywatela, który zechce działać społecznie i politycznie.

Oto w wielkim skrócie podane najważniejsze postanowienia przesadnie surowej ustawy o zgromadzeniach. Stanowi ona wraz z ustawą samorządową i szkolną ciekawy dokument, świadczący o chęci opasania polskiego życia zbiorowego powrozem policyjnym, który „sanacja" chce raz rozluźniać, to znów zacieśniać, zależnie od swych partyjnych potrzeb.

Stosowana bez właściwego umiaru, ustawa o zgromadzeniach może doprowadzić do zamarcia działalności legalnych organizacyj społeczno-politycznych. Życie polskie zostanie zepchnięte wtedy pod ziemię i zacznie tam pulsować.

Wątpimy, aby ta metoda wyszła państwu na zdrowie.

Sprowadzanie siłą wszystkich objawów życia do kotła państwowego, gromadzenie w nim niezadowolenia, a często nienawiści, jakie żywi społeczeństwo do policyjnych metod rządzenia, bez założenia koniecznych klap bezpieczeństwa w postaci normalnego rozwoju życia zbiorowego, może doprowadzić do niepożądanych dla państwa, a zwłaszcza dla jego chwilowych sterników — wybuchów.

TADEUSZ BIELECKI

OTO POLSKA!

UKAZAŁA się w Niemczech książka o Polsce, która niewątpliwie zasługuje na uwagę. Powiedzmy z góry — nie dlatego, by przynosiła ścisłe i objektywne informacje o naszym kraju, lecz dlatego, że ujawnia, co i jak myślą o nas w Niemczech, o Polsce odrodzonej i o prądach politycznych, jakie w niej istnieją.

Autrem książki jest p. F. W. von Oertzen, długoletni korespondent liberalnego dziennika *„Vossische Zeitung"* z Warszawy. Tytuł — *„Das ist Polen!"* określa wyraźnie stosunek autora do przedmiotu. Oto Polska — powiada on czytelnikowi. To znaczy: oto, jak wygląda państwo, którego powołanie do życia miało być wymierzeniem sprawiedliwości dziejowej.

Treść odpowiada tytułowi, zebrano bowiem starannie i ze znajomością rzeczy wszystko, co było można, na przestrzeni kilkunastu lat istnienia odrodzonego państwa polskiego, by opinję czytelnika urobić w sposób dla tego państwa jaknajbardziej nieprzychylny. Wystarczy przytoczyć tytuły rozdziałów, by się zorjentować nie tylko w treści książki, lecz także w tendencji p. von Oertzena.

Oto one: „Nieznany kraj", „Cud nad Wisłą" (wojna polsko-rosyjska), „Fakty dokonane" (zamach na Wilno i konflikt z Litwą), „Korfanty prowadzi wojnę" (walka o Górny Śląsk w r. 1921), „Marszałek idzie na front" (zamach Piłsudskiego w maju r. 1926), „Państwo pułkowników" (sprawa Zagórskiego — minister skarbu przed Trybunałem Stanu — średniowiecze w Brześciu Litewskim), „Inferno Polski wschodniej" (walka z Białorusinami — średniowiecze na Ukrainie zachodniej), „Szpicle i szpiedzy na Górnym Śląsku" (agent Pielawski i jego metody), „Wielkie uderzenie w szkołę niemiecką". „Sprawa Ulitza", „Piekło wybucha", „Nowoczesna wędrówka narodów (jak w ciągu 10 lat wygnano 800.000 Niemców)", „Sąsiad, któremu się nie podoba".

P. von Oertzen stara się o zachowanie wszystkich pozorów ścisłości i prawdomówności, lecz szuka starannie, by na swem płótnie zgromadzić barwy możliwie ciemne. Nie rozróżnia przytem stronnictw, obozów, czy jakichkolwiek ugrupowań polskich. Stara się wszędzie znaleźć fakty i argumenty, któreby służyły jego tezie i usprawiedliwiały tytuł książki — „Oto Polska!"

Czy to będzie walka Korfantego o polskość Górnego Śląska, czy rządy pułkowników, czy polityka w stosunku do Niemców, czy „pacyfikacja" w Galicji wschodniej — wszystko jest dobre, jeśli może posłużyć jako kanwa do haftowania na niej oskarżeń przeciw Polsce, nie przeciwko temu lub innemu stronnictwu, czy obozowi, lecz przeciw Polsce i narodowi polskiemu.

Autor jednakże nie szacuje ze swego stanowiska jednakowo wszystkich obozów politycznych w Polsce. Mimo, że najwięcej materjału czerpie z życia i działań „sanacji", gniew jego zwraca się

przedewszystkiem przeciw „szowinistom"; pod adresem obozu dziś w Polsce rządzącego ujawnia niejeden odruch pewnej sympatji.

„Popełnia się głupstwo" — pisze p. Oertzen — „gdy się zagranicą mówi o tem, że system Piłsudskiego musi się załamać. Z tem nie należy się liczyć w żadnych warunkach, bo niema w Polsce żadnej zapowiedzi, ani możliwości zorganizowania jakiejkolwiek opozycji, któraby się stała niebezpieczeństwem dla władzy, skoncentrowanej w rękach ludzi, skupionych do koła Piłsudskiego. Lecz koło to jest małe. A jeszcze mniejsza jest ilość pozytywnych idej, które z koła tego wyszły".

Mówiąc zaś o stosunku „szowinistów" do Niemiec i o ich zamiarach względem Prus Wschodnich, powiada p. von Oertzen co następuje:

„Oficjalna polityka polska nie jest ani tak mało ostrożna, ani tak niezręczna, by dąć w ten sam róg. Lecz nie robi ona także nic, by stłumić podobne nastroje. Tak długo, jak długo w Polsce nieograniczona władzy należy do ludzi, stojących koło Piłsudskiego, niema powodu w Niemczech do przesadnych obaw. Zasadnicze nastawienie Piłsudskiego jest skierowane raczej na wschód, niż na zachód. Dawny bojownik przeciw uciskowi rosyjskiemu jest i dziś jeszcze w pierwszym rzędzie wrogiem Rosji, a stopniowe obsadzanie wszystkich ważnych placówek zagranicznych ludźmi zaufania Marszałka stanowi nawet do pewnego stopnia zabezpieczenie dla Niemiec".

Czyżby Polska zagrażała w jakikolwiek sposób Niemcom? Czyżby ujawniła jakieś zaborcze w stosunku do nich zamiary? O tem nic nie słyszeliśmy.

Natomiast Niemcy nie ukrywają swoich planów co do przyszłego urządzenia stosunków w Europie wschodniej. Daje temu wyraz także p. von Oertzen w poniżej przytoczonym ustępie, kończącym jego książkę:

„Gdy latem r. 1931 fala kryzysu gospodarczego podniosła się tak wysoko, że postawiła pod znakiem zapytania gospodarstwo narodowe Niemiec, powiedział pewnego dnia młody, rozumny dyplomata polski do dziennikarza niemieckiego: „Wydaje mi się, że zagadnienie polskie zeszło dziś dla Niemiec na trzeci plan". Być może, że jest tu słuszne dla okresu, w którym naród niemiecki bronić się musi przed przygniatającemi go ciężarami zobowiązań reparacyjnych i dziwami światowego kryzysu gospodarczego. Lecz obok zagadnienia „haraczu", obok zagadnienia równouprawnienia Niemców z innemi narodami, które znajduje swój najostrzejszy wyraz w całym kompleksie sprawy rozbrojenia, stoi zupełnie równorzędnie zagadnienie stosunku między Niemcami a Polską. Nic nie pomogą próby odsunięcia na bok problemu polskiego. Przez to go się nie rozwiąże, a bez tego rozwiązania niemasz dla Niemiec spokojnego rozwoju, któryby prowadził z nizin teraźniejszości ku lepszej przyszłości".

Wiemy, co rozumie p. von Oertzen przez rozwiązanie problemu polskiego — odebranie państwu polskiemu ziem, bez których istnieć ono nie może.

Oto Polska — chce powiedzieć on swą książką czytelnikowi — taki naród i takie państwo nie zasługują na to, by istniały.

VIATOR

DE RE GALLICA

(UKRYTE SPRĘŻYNY TRZECIEJ REPUBLIKI)

PO ZASADNICZEJ krytyce działania parlamentu francuskiego i jego skuteczności, jaką podaliśmy, śladem Daniela Halèvy, na łamach „Myśli Narodowej" przed paru tygodniami,[1]) pozostawałoby odkryć, na jakich to pozytywnych wartościach opiera się zwycięska bądź co bądź Trzecia Rzeczpospolita francuska? dzięki jakim to nieoficjalnym kółkom i sprężynom ta maszyna funkcjonuje i motor działa?

Odpowiedzi wyczerpującej tu nie znajdziemy: może jest na nią zawcześnie. Wzamian dostaniemy parę faktów, parę przykładów. Obraz będzie naszkicowany jakby metodą *pointillistéów*: parę oświetlonych punktów, zestawionych obok siebie, niech wytyczy całość.

Niema wątpliwości, że od jakiegoś roku 1880 jest cały szereg nabytków natury społeczno narodowej, których nie sposób nie wpisać, choć częściowo, na rachunek obecnego *règime*'u. Weźmy parę przykładów z paru dziedzin.

Więc zbiór ochronnych praw dla pracy, kodeks pracy (*code du travail*). Jest tu cała ewolucja społeczna, której rytm idzie wręcz naprzekór konstelacjom parlamentarnym. Pierwsza ustawa socjalna, zakazująca pracy dzieciom poniżej lat 12, pochodzi z r. 1874, w którym to czasie Izba była konserwatywna. Przez następnych lat 16 nie przybywa do tego nic: jest to okres lewicowo-republikański.

Z rokiem 1890, z nadejściem nowego okresu konserwatywnego parlamentu, ustawodawstwo społeczne rośnie jak na drożdżach: 1890 — zniesienie obowiązkowej książeczki robotniczej, ustanowienie delegacji robotników w ochronnym zarządzie kopalni; 1892—10-godzinna praca dla kobiet; następne lata 1893, 1894, 1898 przynoszą szereg ulepszeń natury hygienicznej i społecznej, ubezpieczenie od wypadków etc. Zjawisko zadziwiające. Ale nikt, opierając się na zasadzie *post hoc ergo propter hoc*, nie wyciągnie tu wniosku, by lewica parlamentu była wroga ustawodawstwu społecznemu, a prawica specjalnie przychylna. Trzeba powiedzieć co innego: inicjatywa i tutaj leży poza parlamentem!

Jakoż tajemnica leży w odziedziczonej po poprzednich ustrojach administracji państwowej. Republika rozporządza i tradycjami i personelem, sięgającym nieraz i cesarstwa i monarchji. Tak i tu, inicjatywa owych reform społecznych wychodziła z t. zw. „*Office du Travail*", działającego nieoficjalnie w ministerstwie przemysłu i handlu. Innemi słowy, jak słusznie zaznacza Halèvy: konstytucja 1875 r. robiła wiele hałasu, pracowała raczej konstytucja roku VIII-go, napoleońska, której kadry administracyjne przetrwały nienaruszone, tak dobrze, jak po dziś dzień.

Przykład drugi: szkolnictwo, tak uniwersytety jak i szkoła powszechna.

Halèvy stawia zasadę, bodaj słuszną, że nigdy nigdzie żadne stronnictwo parlamentarne nie zajęło

[1]) Patrz Nr. 5 r. b.

się poważnie uniwersytetem, ani nie miało dlań zrozumienia.

We Francji komplikuje się cała sprawa o zniesienie przez Napoleona t. zw. autonomji uniwersyteckiej, zniesienie przynajmniej częściowe. Skutki były opłakane, zwłaszcza wobec przygniatającej w pewnym momencie przewagi uniwersytetów niemieckich. To zaś było stałą *bête noire* dla Trzeciej Republiki: dorównać *coûte que coûte* Niemcom, oto hasło naczelne... Znów znalazło się dwu ludzi, Gréard i Liard, wysokich funkcjonarjuszy na polu szkolnictwa, którzy stali się autorami reformy uniwersyteckiej. Reforma musiała przejść przez Izby i została uchwalona — ale z politycznem odtrąceniem rzeczy najważniejszych: pełnego przywrócenia autonomji i ograniczenia dwunastu uniwersytetów do pięciu...

Skutek ten, że mimo ogromnej wartości uczonego i nauki francuskiej, ustrój szkół wyższych jest przedawniony. Warto tu przypomnieć kampanję Agathona (Henri Massis'a) przed wojną, a też i pewną przykrą izolację, istniejącą między Sorboną (o nią tu głównie idzie, co też się niekorzystnie odbija na uniwersytetach prowincjonalnych), a społeczeństwem francuskiem.

Ze szkołą powszechną jest znów inna sprawa: wyrosła ona na nowe, i to sprawne i potężne narzędzie lewicy masońskiej, działające między wyborcami. W rezultacie nietyle Izba urabiała zastęp nauczycielstwa ludowego, ile właśnie ono urabiało Izbę... Przed rokiem, jeden z deputowanych centrum francuskiego powiedział mi wręcz, że demokracja zniosła wprawdzie uprzywilejowane stany szlachty i kleru, ale stworzyła za to nowy, obdarzając go wszelkiemi przywilejami: nauczycielstwo ludowe. Niezmiernie ciekawe są początki jego organizacji. Za czasów Ferry'ego szkolnictwo powszechne zostało zorganizowane przez Feliksa Pécaut, Ferdynanda Buisson i Steega: wszyscy trzej byli kalwinami! W tym rdzennie katolickim kraju szkoła powszechna otrzymała z ich rąk wybitnie antykatolickie natchnienie. Potęga związku nauczycieli ludowych jest tak przemożna, że się oparła nawet rządom Bloku Narodowego. Za czasów Leona Berarda, i mimo jego protestów, z programu szkół powszechnych zostały definitywnie wykreślone obowiązki wobec Boga, a zastąpione nauką socjologji.[2])

Dalszych faktów dostarczyć nam może polityka zagraniczna Francji.

Polityką kolonjalną zająłem się już w poprzednim artykule. Dziś chcę sprecyzować. Patrząc na karjery wielkich dobroczyńców Trzeciej Rzeczypospolitej, jej wielkich prokonsulów, jak Lyautey'a, ma się wrażenie, że oni swego dzieła dokonali wbrew parlamentowi i mimo Republiki... Ale w takim razie, co nimi kierowało? Wyglądać może na paradoks stwierdzenie, że aktywną i twórczą rolę odegrała tu niechęć do Rzeczypospolitej! Było w tych ludziach coś z flibustjerów XVII wieku, tych awanturników, którzy skolonizowali Kanadę i tyle innych ziem nieznanych. Nie mogąc wytrzymać w ciasnych ramach Francji radykalnej, w jej atmosferze lękliwości i rezygnacji, nasi flibustjerzy XIX wieku chwytali się każdej okazji trochę szerszego działania. Robili swoje — i natrafiali na szykany parlamentarne. Ale tu zaczęła się gra, jak z owemi 80 miljonami i czterema głosami większości za cenę dwudziestu unieważnionych mandatów.

Z przymierzem rosyjskiem rzecz się miała dość analogicznie. Zrozumiemy to dziś tem lepiej, że teren był nam bliski. Opinja Francji demokratycznej, republikańskiej i parlamentarnej nie mogła być przychylną dla sprzymierzania się z Rosją carską. Opinja francuska, opinja szerokich sfer, była tu tak właśnie sentymentalna i ciemna, jak opinja polska, która, pamiętamy to wszyscy, rozdzierała szaty nad przeniewierstwem demokracji francuskiej... A jednak znalazły się sfery, salony, osobistości (Liga Patrjotów, Déroulède, salon pani Adam), przeważnie prawicowo-nacjonalistyczne, które to zbliżenie przeprowadziły. Działanie za przymierzem rosyjskiem we Francji było właśnie tak niepopularne i tak głęboko mądre, jak później w r. 1907 głosowanie Koła Polskiego w Dumie za rekrutem... Jest niezmiernie znamienne, że rząd i Izby Trzeciej Rzeczpospolitej pierwotnie mało się angażowali w polityce zbliżenia z Rosją: marynarze rosyjscy byli w Paryżu gośćmi nie rządu, ale rady miejskiej; wreszcie samo przymierze zredukowało się do układu nie rządów, ale sztabów. Było to zresztą najważniejsze.

Wszystko razem wziąwszy, widać dość wyraźnie, że obok i mimo Izby, istnieje Francja, złożona z współistniejących i współgrających — wrogo lub przyjaźnie — pewnych potężnych, przeważnie odziedziczonych po nierepublikańskich ustrojach kadrów społecznych: administracja, wojsko, uniwersytet, nauczycielstwo ludowe etc. Są to elementy dość sprzeczne, choć zdyscyplinowane. Ktoś niemi musi rządzić, albo przynajmniej niemi posuwać.

Tym kimś są, w naszych czasach, wcale nie jawne autorytety władz, ale raczej ukryte, anonimowe naciski różnych tajnych związków.

Ale to już inna sprawa i inna gra. Że jednak i tu *nosta res agitur* — wypadnie nam do tego jeszcze powrócić.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

[2]) *„Vague matière dont la seule chose qu'on sache avec précision, c'est qu'elle est la philosophie du radicalisme et du socialisme officiel"* powiada Halévy.

W MGLE NIEPOROZUMIEŃ

W r. b. mija 25-a rocznica śmierci St. Wyspiańskiego. Najgodziwszą formą wspominania twórców są studja nad nimi. Dlatego pracę prof. Cywińskiego z uznaniem i wdzięcznością dla autora ogłaszamy. Wyjdzie ona potem w osobnem wydaniu, łącznie z ogłoszonemi przezeń w „Myśli Nar." z r. 1931, tom II, artykułami: „Symbolika Wesela" i „Długie noce". (Red.)

1

CYPRJAN NORWID powiada, że „czytanie autora zależy na wyczytaniu zeń tego, co on tworzył, więcej tem, co pracą wieków na tem urosło". Zdanie to wydaje mi się słuszne. Przecież każda epoka podejmuje swego rodzaju rewizję dorobku umysłowego przeszłości, dewalując niektóre wartości, inne zaś podnosząc w cenie, pogłębia nasze pojęcia o pewnych zjawiskach, rozwiewa legendy lub też utrwala chwałę.

To też i szkic o „Weselu" pragnąłbym uzupełnić analizą literatury krytycznej o niem, aby na żywym przykładzie pouczyć czytelnika, jak to krytyka może twórczo wzbogacać literaturę i wiedzę o niej, albo też gmatwać nasze pojęcia i bałamucić czytelnika.

Oczywiście pierwsze zdania krytyki teatralnej w r. 1901, po premjerze „Wesela“, nie sięgały jeszcze do jądra utworu. Jeden z recenzentów, W. Prokesch, pisał nawet w „Nowej Reformie“, że przy końcu dramatu „rozlegają się dźwięki weselnego oberka i w jednej chwili pełen grozy nastrojowej obraz poprzedni zmienia się w wesołą, barwną scenerję weselną“. Sienkiewicz, wychodząc z przedstawienia „Wesela“, miał podobno powiedzieć: „Albo ja jestem grafomanem, albo autor tej sztuki“.

Ale były to zdania wyjątkowe. Ogromna większość piszących o „Weselu“ odrazu uznała je za dzieło wyjątkowe. Więc Adam Grzymała-Siedlecki przyznawał, że „pierwszą istotną syntezą pokolenia jest może ten dramat Wyspiańskiego[2]). Wincenty Lutosławski zestawiał „Wesele“ z „Dziadami“ i nazywał poetę „dziedzicem naszych wieszczów“[3]). Adolf Nowaczyński dostrzegał w dramacie przedewszystkiem „pogrzebanie wszystkich optymizmów, jakie się jeszcze przechowywało“[4]). Feliks Koneczny, w obszernem sprawozdaniu w „Przeglądzie Polskim“, dochodził do przekonania, że „tragizm „Wesela“ polega na niewykonalności zamiaru, na przeciwieństwie marzeń a rzeczywistości“[5]), nie wyjaśniając zresztą, czy Wyspiański sam staje po stronie marzeń, czy też właśnie rzeczywistości. Gabrjela Zapolska w jaskrawej impresji tak charakteryzuje scenę ostatnią: „Zjawia się ktoś, co gra, a my, Polacy, tańczymy, jak on gra... Scena znika — to jeden wielki cmentarz, a po tym cmentarzu tańczą, tańczą“[6]). Piotr Chmielewski stwierdził objektywnie: „Wesele jest najwydatniejszem i najoryginalniejszem zjawiskiem na polu dramatyki najnowszej. Myśl zasadnicza — to głęboko ujęta sprzeczność pomiędzy teoretycznemi poglądami i przekonaniami, pomiędzy marzeniami i rojeniami—a zwykłą, codzienną, powszednią rzeczywistością, sprzeczność, tkwiąca... w całym narodzie“[7]). Jeden Włodzimierz Spasowicz próbuje z Wyspiańskim polemizować, nie zdając sobie sprawy, że poeta mówi właściwie to samo o swej współczesności, co przedstawiciele Historycznej Szkoły Krakowskiej: „Wyspiański jest zamało historykiem i socjologiem... Nie staniemy się nigdy takim, jakim wyobraża nas Wyspiański, narodem, złożonym z samych grabarzy cmentarnych, albo z kustoszów dziejowych rupieci... Nieprawdą jest, abyśmy stracili duszę narodową, a mamy tylko serce, to jest uczucie bólu, nie wywołujące żadnej reakcji“[8]).

Inny przedstawiciel starej generacji, Stanisław Tarnowski, jakkolwiek rezygnujący z wytłumaczenia „Wesela“, rzuca jednak kilka trafnych spostrzeżeń, świadczących o większej bądź-co bądź przenikliwości, niż ją wykazała większość chwalców „Wesela“. Wedle niego Gospodarz, to

„allegoryczna figura tej lekkomyślności, z jaką chwytaliśmy za broń bez broni; uczuciowości i łatwowierności, z jaką słuchaliśmy haseł powstańczych, upatrywali znaków na niebie i wierzyli w przepowiednie“.

[2]) „Głos“, 1901, nr. 14.
[3]) „Słowo Polskie“, 1901, nr. 207.
[4]) Tamże, nr. 135.
[5]) W recenzji zbiorowej „Teatr Krak.“, IV, 1901.
[6]) „Słowo Polskie“, 1901, nr. 240.
[7]) „Dramat polski najnowszej doby“, Lwów, 1902, str. 125
[8]) „Kraj“, 1901, nr. 52.

Następnie Tarnowski pyta, czy „czar I“ oznacza, że

„naród polski przez cały wiek tych znaków czekał, śledził, a w nie zapatrzony nic innego nie widział i nie wiedział?.. Jest w nas na nieszczęście taka bezkrytyczna skłonność do słuchania i powtarzania haseł, jakie nam ktokolwiek rzucił... Poszliśmy niebacznie za hasłem w r. 1830... poszliśmy niebacznie za hasłem w r. 1863“[9]).

Pomimo to autor nie rozumie całości „Wesela“.

W jaskrawem przeciwieństwie do Spasowicza i Tarnowskiego, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli „Młodej Polski“ (i jeden z bohaterów „Wesela“), Kazimierz Tetmajer w entuzjastycznym artykule p. t.: „Wielki poeta“[10]) uznawał „Wesele“ za

„dzieło, od którego prawdopodobnie zaczyna się nowa era poezji polskiej... o którem jednogłośnie powiedziano, że jest rzeczą genjalną... Jest to rzecz, w której po raz pierwszy potrafił ktoś streścić, wyjawić współczesną duszę polską...“ „Wesele“ jest straszną i krwawą satyrą...“ „To co się wypowiedziało fragmentarycznie w lirykach, w nowelach całej masy pisarzów współczesnych, to dopiero on pierwszy, Wyspiański, ujął, streścił i wklął to w posąg, który ma twarz, ramiona, piersi, nogi, jest wyobrażeniem człowieka epoki... Imperatyw wewnętrzny, bezwzględność twórcy nie pozwoliła cofnąć się Wyspiańskiemu przed czemkolwiek. Przejechał też po społeczeństwie swojem nakształt konia Attylli, za którego kopytami trawa nie rosła. Jego „rozżarzona do białości inteligencja“, wespół z jego nadzwyczajną, piorunowi podobną wyobraźnią, zatargała wnętrznościami narodu, jak niegdyś targał niemi Słowacki“.

2

Pierwszy jednak bezwzględnie trafny sąd, wyrastający ponad ogólniki i impresje, wygłosił o „Weselu“ inny jego współ-bohater, wyprowadzony w życie pod postacią Dziennikarza, Rudolf Starzewski[11]). On to pierwszy zajął stanowisko właściwe, stwierdzając, że „Wesele“ — to

„w literaturze ostatniej doby najbardziej bezwzględna rewizja jednego z ideałów okresu romantycznego“... (str. 36). „Wesele“ streszcza wszystkie charakterystyczne znamiona twórczości Wyspiańskiego, jako poety. Twórczość ta płynie: z niezmiernie potężnej inteligencji — i z ogromnie czynnej, samodzielnej, nerwowej fantazji. Krytycyzm i fantazja, mózg i nerwy — złożyły się na „Wesele“, dzieło okrutne, jak żrący rozczyn chemiczny, a drgające, jak płomień, rozżarzonym patrjotyzmem, dzieło oryginalne i indywidualne artysty nawskroś, dzieło — mojem zdaniem — najwybitniejsze w twórczości młodego pokolenia polskich poetów dramatycznych“ (str. 45).

Starzewski też pierwszy w obszernym rozbiorze dzieła zwraca baczniejszą uwagę na jego symbole, zawierające w sobie kwintesencję dramatu. Symbole te — to przedewszystkiem Chochoł i Wernyhora ze Złotym Rogiem. Pozostają one do siebie w stosunku przeciwieństwa, to też niemal wszyscy krytycy pojmują, że symbole te wykluczają się wzajemnie.

Oto jak Starzewski charakteryzuje Chochoła:

„Chochoł... przez długie polskie zimy odziewa spętane krzewy i szczepy, zna szept soków, krążących po gałązkach w uwięzi, wie o zawiązkach pąków, utajonych pod korą, czuje głuche pędy rozrostu, tęskniące do słońca i swobody. Zczerniał w wietrze i słocie — a pod jego ciężką, rubaszną powłoką czeka liść i kwiat, czeka życie, aby odkwitnąć... Jak w chochoł uwiązana polska dola — więc może on i wie, co się w polskiej „duszy gra“? (str. 29).

[9]) „Hist. liter. polskiej“, t. VI, cz. 2, str. 524.
[10]) „Tygodnik Illustr.“, 1901. nr. 43—51.
[11]) „Wesele“ Wyspiańskiegogo, Kraków 1901 (odbitka z „Czasu“).

Jeśli jeszcze zauważymy, że (na str. 12) autor mówi wyraźnie, iż Chochoł „osłania“ krzak róży, to dobroczynna rola Chochoła już tu nie ulegała wątpliwości.

Podobnież Walery Gostomski, autor drugiego doskonałego studjum o „Weselu“ [12]), przeciwstawiając marzenie, zaklęte w Złotym Rogu, — rzeczywistości, usymbolizowanej w Chochole, wywyższa Chochoła:

„Kwiat róży... — i ten poczwarny Chochoł... W tym kontraście, jak mniemam, ukrywa się myśl tragiczna dziwnego symbolu: słoneczna, złota myśl narodowa, idąca ku nam poprzez wieki, hen, od piastowskiego zarania, a dzisiaj tak zwiędła od wichru i śniegu tych naszych zmierzchów jesiennych. Ale jest w niej życie utajone; zakwitnąć może nanowo w słońcu wiosennem, jeno teraz, w tej smutnej jesieni, zawiędła, zmartwiała czasowo“.

Antytezą Chochoła, rzeczywistości, są rozmaite majaki, uroki, mające dostęp do gości weselnych.

„Nikt więcej od pana Włodzimierza nie ulega działaniu tych uroków. W tym człowieku nowoczesnym... żyje niejako Polska dawna, ze swą dawną, wielką przeszłością dziejową“.

Tymczasem się okazuje, że „Złoty Róg — symbol przedziwny—był tylko jedną ze złud“. Wreszcie finał dzieła, to, wedle Gostomskiego,

„prawdziwa, realna jawa, kryjąca w sobie możliwość haseł stokroć potężniejszych od tych, któremi we wspomnieniu, w marzeniu jeno, brzmią nam coraz słabiej widmowe rogi złote“.

3

Jednak, niestety, nie wszyscy interpretatorzy „Wesela“ zajęli równie trafne stanowiska wobec tych niepokojących symbolów. Prawda, że niemal wszyscy się zgadzają, iż Złoty Róg — to marzenie, zaś Chochoł—rzeczywistość, lecz głęboko zakorzenione narowy romantyczne każą przeważnie odwracać intencje poety i apoteozować właśnie to, co on potępia, zaś gardzić jego koncepcją pozytywną.

Więc przedewszystkiem Feldman, sam twórca najbardziej bezmyślnej fikcji neo-romantyzmu, widzi w „Weselu“ —

„smutny triumf rzeczywistości nad ideałem, Chochoła nad duchem, niemocy nad Złotym Rogiem... Chochoł — to śmierć moralna, rzeczywistość, niemoc... Niewolnikami są wszyscy, niewolnikami powszedniości, małości, nicości, niewolnikami życia codziennego; ono też zwycięży“.[13])

Jacimirskij, powtarzający najczęściej pomysły Feldmana po rosyjsku, tak mówi o Złotym Rogu [14]):

„*W simwoliczeskom Zołotom Rogie nadieżdy na buduszczeje spasienje: w niom osnownaja idieja nie tolko „Swad'by“, no i wsiego tworczestwa Wyspianskago*“

Antoni Potocki zapytuje:

„Cóż jest ten Chochoł? — Chochoł, snop słomy, w który na zimę upowijają krzew róży — to jest wszelki powijak duszy ludzkiej, pogrążonej w śpiączkę. Rutyna, szablon, poza, zgoła wszelki konwenans, wszelkie płaskie dojutrkowanie życia — wszystko to może (!) się uważać za Chochoła... Chochoł — to taki domowy bóg rodzimej ślamazarności [15]).

W sądzie powyższym uderzać musi czytelnika trafna definicja formalna na początku obok wyssanej z palca dalszej interpretacji.

Podobnież W. Lutosławski [16]) zupełnie dowolnie tłumaczy:

„Chochoł ukazuje się jako złośliwy, obcy Chochlik, paraliżujący naturalne (?) poruszenie ludu“.

Stanisław Turowski popuszcza cugli fantazji:

„Chochoł — uosobienie wszystkich (!) wahań i zwątpień, wszelkiej ospałości i wszelkiego odkładania z dnia na dzień, lenistwa i niewiary. Chochoł — jest satyrą straszną“ [17]):

Śliwicki [18]) uważa Chochoła za symbol „Szablonu życiowego, rutyny, kompromisu, usypiającego wolę czynu, symbolu rzeczywistości“. Widzimy jak tu znów objektywne określenie końcowe jest połączone z najdowolniej naciąganem wartościowaniem.

Józef Kotarbiński, którego zasługą pozostanie wystawienie „Wesela“ na scenie Teatru Krakowskiego, autor pierwszej dużej książki o Wyspiańskim p. t. „Pogrobowiec romantyzmu“ [19]), jest naogół o sto mil od zrozumienia intencyj poety:

„Chochoł—słomiana pałuba, okrywająca na zimę krzak róży... Chochoł ironiczny, widomy symbol wewnętrznej nicości życia pustego, jak wymłócona słoma — to symbol rzeczywistości...“

„Złoty Róg, który ma wydzwonić wielkie (?) hasło jakiegoś nieokreślonego (!) czynu... Wernyhora jest upiorem, przedstawiającym ideę politycznego zmartwychwstania Polski tak, jak o niej marzyli wieszcze nasi—Polski archanielskiej“ (A więc chyba nie tak, jak się spodziewał Wyspiański? przyp. S. C.).

„Złoty Róg nie zagrzmiał. Lud nie może wydać hasła zmartwychwstania. Wiara i kosy racławickie nie dokonają cudu (!). Ideał Kościuszkowski zgaszony, rozwiany tchnieniem nieubłaganej rzeczywistości. Świta, dzień przynosi otrzeźwienie Zamiast wielkich a złudnych marzeń, uczestnicy godów automatycznie kręcą się wkoło. Tak samo wobec bankructwa ideałów całe społeczeństwo obraca się leniwie w małem kole codziennego życia“. (Jakiż stosunek poety do tego życia codziennego? przyp. S. C.).

„Nad tłumem panuje Głos Chochoła, ironicznego symbolu pracy marnej, wiechciowej. Zamiast pobudki marzycielskiej, z rozpędu do wielkich czynów, gorzka pieśń niemocy“.

I tutaj znowu widzimy trafne spostrzeżenia o charakterze objektywnym, z zupełnie dowolną subjektywną interpretacją.

Mazanowski przyjmuje bez zastrzeżeń szablon romantyczny:

„Złoty Róg ma się stać słowem zaklęcia, które przyniesie zwycięstwo przez czyn“.[20])

Zupełnie podobnie rozumie rzecz B. Pochmarski [21]):

„Chochoł — smutna życia codziennego małość... Złoty Róg serca i twórczej idei“.

Dla B. Chlebowskiego Wernyhora i Złoty Róg — to również symbole pozytywne [22]). Podobnie też sądzi Ludwik Skoczylas, który zato najopaczniej tłumaczy Chochoła. Raz mówi o nim, że to jest „pałuba słomiana, w którą owinięta jest róża, aby jej nie przeziębił „najgorszy mróz“. Ale w ślad za tem, jak gdyby zapomi-

[12]) Arcytwór dram. Wyspiańskiego „Wesele“ — „Pamiętnik Literacki“ 1908.
[13]) O twórczości Wyspiańskiego i Żeromskiego (Wykłady z VIII. 1904 w Zakopanem) Kraków 1905.
[14]) *„Polskaja sowremiennaja litieratura“*.
[15]) Artykuł o Wysp. w noworoczniku *„Melitele“*, 1902. Podobnież w osobnej książce o St. Wysp.
[16]) l. c.
[17]) „Dziennik Pozn.“ 1902, nr. 39.
[18]) O twórczości dramat. St. Wysp. 1907.
[19]) Warszawa, 1909, str. 370.
[20]) Literatura, IV wyd., str. 638.
[21]) O czwarty akt „Wesela“ Gaz. Literacka.
[22]) Literat. Polska (1795—1905).

nając o co tylko stwierdzonej roli opiekuńczej Chochoła, autor pisze: „Chochoł słomiany, to uosobienie zimowego snu i martwoty“ [23]). Gdzieindziej [24]) wreszcie twierdzi, że

„Stan zdziecinienia i bezpłodności dziejowej znalazł swój poetycki symbol w tańcu Chochoła“.

[23]) O St. Wysp., Kraków, 1909.
[24]) Wyspiański jako poeta państwowości polskiej, Lwów, 1918, str. 10.

K. Wojciechowski również patrzy na Wernyhorę przez okulary romantyzmu. Chochoł u niego — to także zdecydowanie ujemna postać:

„Triumfuje Chochoł, smutne przeznaczenie, które ciągle wygrywa nam tylko narodowe piosenki, a my jak senni, zasłuchani w nie, nie dążymy naprzód, ale odprawiamy grobowe weselisko [25]).“

(D. c. n.) STANISŁAW CYWIŃSKI

[25]) Dzieje literat. polskiej, III wyd., str. 359.

FRYDERYK SCHILLER

DON KARLOS, INFANT HISZPAŃSKI

(AKT PIERWSZY, SCENA PIĄTA)

KRÓLOWA — KARLOS
(MARGRABIA POSA i MARGRABINA MONDECAR oddalają się w głąb sceny)

KARLOS: (u nóg królowej) Nareszcie przyszedł moment wywolno mi rękę twoją — [modlony;

KRÓLOWA: Boże mój! Szalony
ten krok zaskoczył mię... Wstań książę; wraz odkryją
nas; dwór mój tuż.

MARLOS: Nie wstanę. Niech zabiją
mię tu! Tutaj niebiosów moich drzwi otwarte...
Zostanę tak.

KRÓLOWA: Książę, na jedną kartę
z szaleństwem twem honor kobiety stawiasz.
Opamiętaj się, przypomnij, do kogo tutaj przemawiasz,
przemawiać ważysz się tak... Do matki twej, do królowej!
Nadtom dotąd cierpliwa; natychmiast o zbrodni owej
pośpieszę donieść monarsze.

KARLOS: O moja, o miła, o jasna,
po twoim najsłodszym uścisku i śmierć skazańca nie straszna!
Zostanę chwilę tu, na kwiatach, na grzędach raju,
pójdę potem odważnie na szafot, jak tylko mię zawołają.

KRÓLOWA. A ja? a królowa?

KARLOS: (wstaje) O Boże mój, tych słów okropnych siatką
obezwładniasz mię... Idę już... O matko, matko, matko,
jak strasznie igrasz mną!.. Jak wicher żenie
mię naprzód, w tył, jedno twoje spojrzenie;
jedno pół słowo, każe mi stać się lub zginąć.
Co każesz? co mam robić? w którą stronę płynąć?
Niema pod słońcem nic, czegobym ci w ofierze
nie oddał i natychmiast...

KRÓLOWA: Uchodź!

KARLOS: Nie wierzę,
że tego chcesz naprawdę.

KRÓLOWA: Patrz, ja błagam w bólu,
we łzach... Uciekaj zanim dwór... Karolu,
Karolu mój, zobaczą nas i wieści
zaniosą ojcu twemu.

KARLOS: Mnie się nic nie mieści
w głowie z pomniejszych rzeczy teraz. Śmierć i życie
to wybór dla mnie. Potoż pragnąłem cię skrycie
zobaczyć samą, aby ujść pod strachem
znikomym? Nie, królowo, skoro przed zamachem
takim nie chciałem cofnąć się — nie ujdę nawet wobec burzy
twego gniewu. Ta sposobność już się więcej nie powtórzy.

KRÓLOWA: Nie, nigdy, nigdy więcej! Książę nieszczęśliwy,
czego żądasz odemnie?...

KARLOS: Królowo, chciałem byś zemną,
byś razem ze mną wiedziała, żem walczył jako nikt żywy
nie walczył nigdy... Bóg mi świadkiem! Byś wiedziała, że
[walczyłem daremno,
że jestem zwyciężony, królowo... że ginę...

KRÓLOWA: Nie mów, dręczysz mię...

KARLOS: Moją byłaś, przez moją rodzinę
i twoją mi obiecana! Przysięgły na to dwa trony
królewskie... Bóg... natura cała... Jestem z ciebie okradziony
przez Filipa!

KRÓLOWA: Ojciec twój to.

KARLOS: Małżonek twój, królowo!

KRÓLOWA: On w dziedzictwie cię obdarzy świata połową.

KARLOS: Już mię obdarzył — matką w twej postaci.

KRÓLOWA: Boże wielki, królewicz Karol zmysły traci!

KARLOS: Gdybyż przynajmniej mógł ocenić to, że cię posiadał
do mu po tobie! Gdybyś dała mu uczucia morze,
on nie spostrzeże nawet, jakim skarbem włada.
Poniecham buntu, przed wyrokiem losu się ukorzę,
jeśli dowiedzie mi kto, że szczęśliwy istotnie
jest Filip z tą, z którą ja byłbym przeżył niebiosa
na ziemi... O Boże, tak bezpowrotnie
stracić swą gwiazdę, która, jasnowłosa
od promieni, poszła gasnąć w starczem objęciu
króla Filipa!

KRÓLOWA: Ciszej! Nie wolno
tak mówić dziecięciu
o siwiźnie ojcowskiej...

KARLOS: Wiem, bo z moją stratą
stało się to okropną, wiem dobrze aż nadto,
kto podszepnął ten związek mu, jakie były Filipa zaloty!...
I dzisiaj, jak cię kocha — wiem... Jakiż wpływ twój na
[państwowych obroty
spraw!? Czyś tu panującą? Przenigdy! Gdzie rząd Albów
[krwawy
uciska, gnębi, Flandrji różnowierczej nóż na gardle trzyma —
nie ty panujesz... A możeś małżonką najmilszą, co najlepsze
[sprawy,
najlepszą serca mężowskiego część dostała w podziale?
Przenigdy, póki życia twego! Filip serca nie ma.
Jeśli cię kiedy nadto czułą pieszczotą obdarzy w zapale
namiętności, napewno nazajutrz przeprasza
za to swe berło królewskie.

KRÓLOWA: Coś mię Wasza
Książęca Mość nadto wielką obdarza litością. Ktoć mówił, czy
mi litość owa? [potrzebna

KARLOS: Byłaby podniebną
twa droga ze mną! Serce mi to rzekło
raz i dotąd powtarza.

KRÓLOWA: Raczej cię urzekło
zarozumialstwo młode! A gdyby trafunkiem
mnie serce powiedziało, że miłość króla, podana z szacunkiem,
i jego czułość szczera, chociaż małomówna,
więcej ważą w mych oczach, niżeli gwałtowna
wymowa królewicza młodego, którego pyszałkiem
omałom nie nazwała...

KARLOS: Jeśli tak jest... Ja to całkiem
inaczej rozumiałem... Wybacz Pani! Nigdym w świecie
nie myślał, że ojca mego miłować możecie...
Jeśli istotnie tak jest, przepraszam z wielkiem uniżeniem,
żem się ośmielił...

KRÓLOWA: Przyjemnością moją i życzeniem
mem jest szanować go.

KARLOS: Czyś matko, nie kochała
nigdy?

KRÓLOWA: Pytanie dziwne...

KARLOS: Liljo biała!
Nie kochałaś że nigdy!

KRÓLOWA: Już nie kocham.

KARLOS: Wzbraniaż
tobie tego przysięga, czy sercem się skłaniasz
od miłości precz?

KRÓLOWA: Czy ta odpowiedź serce twoje syci
radością, książę? Odejdź z Bogiem. Dość tej inkwizycji!

KARLOS: Czy serce broni ci, czy obowiązek?

KRÓLOWA: Mój honor czczę i uświęcony czczę przez Boga [związek
i chcę... Nieszczęsny, po co ten nóż w ranie
obracasz? Po co badasz to, czego nie złamie
twoja ni moja moc? Po co Niebiosów
gniew ściągasz, zamiast nagiąć kark do jarzma losów
narzuconych nam?

KARLOS: A więc jednak narzuconych!

KRÓLOWA: Jakąż to wagę przywiązujesz do tych moich [płonych,
wydartych siłą słów? Tak być musi — to jedynie rzekłam..

KARLOS: Musi? Przenigdy! To słowo jest piekłem
dla słabych. Ja nie muszę tam, gdzie zechcieć mogę!
Mamże być nieszczęśliwym, skoro widzę drogę
do szczęścia? Wszak wystarczy jedno uderzenie
w obecny system praw. W spróchniałych ramach
ledwie kołace się duch.. Lada zamach
— runie i ślad po tem wszystkiem zastygł. Jedno mgnienie
— i jestem najszczęśliwszym; byleby uderzyć
trafnie...

KRÓLOWA: Czy dobrze cię rozumiem? Sama sobie wierzyć
nie śmiem... Stracone wszystko. Jakoweś widziadło
mami cię.

KARLOS: Nie stracone nic i nie przepadło
nic dla żywych.

KRÓLOWA: I w matce swojej pokładasz nadzieję
książę?
(patrzy nań długo i przenikliwie, mówi dalej z powagą i godnością).
Dlaczegóżby i nie! Gdy zajaśnieje
młody król, można dawne, prastare ustawy
zdeptać i spalić prawa; a dla większej sławy
posągi umarłego można kazać rzeką
puścić — czy nie popłyną... A mumję wywleką
mumję nieboszczyka z grobów Eskurjalu
i na proch ją rozsypią, rozbiją...
I jeszcze można dalej, żeby dobrze skończyć
ten bohaterski czyn —

KARLOS: Jezus, Maryjo!

KRÓLOWA: — ślubem z królową wdową się połączyć!

KARLOS: Przeklęty ojcobójca!
(stoi przez chwilę zdrętwiały i bez słowa)
Tak! teraz mi własne
serce powiada, że wszystko skończone
na wieki... Dotąd nie było mi jasne...
Ach, pocóżem się dowiedzieć chciał! O płone
nadzieje... O próchno duszy nieszczęśliwej...
Wiem teraz, żem cię stracił. Już mi żadne leki
nie pomogą... Na wieki, na wieki, na wieki!
Tego nie można znieść... Lecz jeśli znieść nie można
tego — to tamta myśl stokroć gorsza, bezbożna,
żrąca jak gad przytknięty do piersi żywej...
Och, cierpieć tak, rozdarty na dwoje!

KRÓLOWA: Karolu, drogi mój... nieszczęsne dziecko moje,
synu mój słodki.. Bądź więcej cierpliwy
na ból... W życiowej musimy szermierce
dotkliwe cięcia znosić. Co twe serce
czuje — wiem nadto dobrze sama. Sprobuj nieco krwawej
z żalu miłości twej hamulec włożyć.. Sławy
to droga jest najprostsza i zdobędzie laury
kto ją przebył.. A ciebie wołają litaury
chwały dawno już, i wspomnienie bohaterskich przodków
obowiązuje ciebie. Gdybyś dobył środków,
które w tobie są, starych zasobów dziedzicznych,
żadnej nie znalbyś tamy ni słupów granicznych
mocy twej. Wnuk Karola Wielkiego zaczyna
dopiero rosnąć w siłę tam, gdzieby drużyna
zwykłych ludzi osłabła pod męką przemożną.

KARLOS: Nie, ja tego nie zdołam... Zapóźno, zapóźno...

KRÓLOWA: Zapóźno być mężczyzną wreszcie? O Karolu,
cnota jak kwiat na słońcu rośnie w bolu
złamanych serc! Opatrzność was wyniosła,
Mości Książe, na wielką wysokość. Miljony
braci pytają, skąd ten jeden taki wywyższony
ponad nas? czem zasłużył na to w matki łonie
jeszcze? Fortuny będąc jawnym faworytem,
zapłać za ten zadatek, znakomitem
życiem przodując innym. Za tę starą
odziedziczoną jasność imienia zapłać — gdy czem innem nie [możesz — ofiarą!

KARLOS: Mogę to wszystko dla ciebie, aby ciebie zdobyć, [miła;
gdy ciebie tracę — cała moja dzielność się skończyła.

KRÓLOWA: Książę najmilszy, przyznaj, że duch przeciwieństwa
zamieszkał w tobie, i gorycz dzieciństwa
kieruje wyobraźnią twą, spychając ją na tory
przeciwne Niebu... Od samotności i snów tyś jest chory,
królewiczu.. Ta miłość „dręcząca okrutnie"
którą mię tak wspaniałomyślnie darzysz, tak rozrzutnie
— miły mój! — miłość taka należy się twemu
imperjum, lądom i morzom, całemu
ludowi twoich przyszłych państw. Gdy się nie bronisz
miłości do mnie, skarb swojego ludu trwonisz!
Miłość — to urząd twój, to twoje stanowisko,
sprawuj ją kiedyś po królewsku, wciągnij w jej wielkie kolisko
świat. Zamiast krwawych wyrzutów sumienia
pożądać — chciej być ziemskim bogiem..
Serce twe błąkało się i przed żony ojca stanęło progiem.
Niech będzie to twa pierwsza miłość.. Ach, nie wątpię,
że drugą będzie Hiszpanja i tej najchętniej ustąpię!

KARLOS: (pada jej do nóg obezwładniony wzruszeniem)
Jakaś ty olbrzymia, jak cudowna.. Każde słowo
twoje wypełnię jak rozkaz królowo!
Niech się więc stanie, niech się spełni.. Na te czyste
twe oczy, na zbawienie nasze wiekuiste,
na moje noce bezsenne i dnie od nich stokroć krwawsze
ja, infant Karlos, przysięgam na zawsze, na zawsze..
— ach nie! nie zapomnieć—lecz milczeć.. Nie mogłem inaczej
przysiądz..

KRÓLOWA: Słuchał cię Bóg i wybaczy..
Ach, jakżebym mogła grzeszna żądać od ciebie — o wstydzie!
przysięgi, którejbym też nie wyrzekła za nic...

POSA: (śpieszy z alei)
Król idzie!

KRÓLOWA: Jezu!

POSA: Uchodźmy, mój książe, już teraz nie można inaczej.

KRÓLOWA: Straszne podejrzenie poweźmie, jeśli cię tutaj [obaczy!

KARLOS: Zostanę.. Cóż to, miałżebym przed karą
uchodzić, jak tchórz..

KRÓLOWA: Jego gniewu ja padnę ofiarą,
nie ty, infancie.

KARLOS: (ciągnie margrabiego za ramię)
Chodźmy, aleja nas schowa
od oczu króla.. (odchodzi i jeszcze raz wraca)
Jakie mogę zabrać z sobą słowa
na pokrzepienie?

KRÓLOWA: Przyjaźń matki niezawodną.

KARLOS: Przyjaźm matczyna... Ach, to brzmi tak chłodno!

KRÓLOWA: Nie. Serce matki to ognisty cierń kwitnący,
lecz jeśli tego mało — weź! tu znajdziesz cały cierpień krzak [gorejący!

(daje mu kilka listów. KARLOS I MARGRABIA śpiesznie odchodzą — KRÓLOWA niespokojnie ogląda się za swemi damami, których nie widać. W chwili, gdy zabiera się do odejścia wgłąb — wchodzi KRÓL).

Przełożyła

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Przygoda redaktora „Słowa" — Osobliwa prezentacja „talentu"—Żyd - antykwarjusz jako wzór—Kramikarskie mecenasostwo—Jego skutki — Twórca wymaga Prawdy, nie kombinacyj spekulantów.

REDAKTOROWI monarchistyczno-sanacyjnego „Słowa" wileńskiego, posłowi z klubu BBWR, p. Stanisławowi Mackiewiczowi zdarzyła się bardzo zabawna przygoda. Spowiada się z niej, z widocznem zażenowaniem, w artykule wstępnym z dnia 12 b. m., pod tytułem „Kłopoty redaktora". Oto w bezpłatnym dodatku miesięcznym do „Słowa", zatytułowanym „Żagary", wydrukował na miejscu naczelnem dłuższy artykuł przewódcy sanacyjnego odłamu młodzieży wileńskiej, p. Henryka Dembińskiego p. t. „Defilada umarłych bogów". Traf chciał, że ideologja owej „Defilady" okazała się najwyraźniej komunistyczna, wobec czego „zakłopotany redaktor" uznał za konieczne publicznie wyekskuzować się przed swymi konserwatywnymi czytelnikami („Wytłumaczymy się więc, dlaczego robimy to lub tamto, jakie są nasze metody redakcyjne"). Stwierdza zatem:

„Pan Dembiński pisał swój artykuł bardzo długo, namyślał się widać nad nim, lecz to, co dał, jest bardzo mało oryginalne. Całe rusztowanie myślowe w tym artykule wzięte zostało od bolszewików, skopjowane u nich, tylko żelazo tego rusztowania zostało ponakrywane, choć zresztą nieszczelnie, jakiemiś dywanikami.

Dowiaduję się jednak, że p. Dembiński nie uważa swego artykułu za komunistyczny, przeciwnie, że chce napisać artykuł, odgraniczający siebie od komunizmu. Osobiście boję się, że ta miedza wyda się nam zbyt wąska"...

Dlaczegoż tedy p. Mackiewicz umieścił pracę p. Dembińskiego w swoim organie? Odpowiada na to z nerwowem nieco ożywieniem:

„Dlaczego?... Poco? Naco? — Pan Dembiński jest człowiekiem zdolnym, bardzo zdolnym... Mamy ambicję popierania zdolnych ludzi"...

Trudno zgadnąć, do czego zdolny jest p. Dembiński. Chyba nie do pisania artykułów. Od publicysty bowiem („bardzo zdolnego"!) wymaga się z reguły dwóch rzeczy: 1°) samodzielności, oryginalności myśli twórczej, a już w każdym razie, jako *minimum*, 2°) opanowania rzemiosła pisarskiego w tym przynajmniej stopniu, by wypowiadać ściśle to, co chciało się wypowiedzieć, nie wywołując w czytelniku wrażeń, przeciwnych zamierzonym i nie dając powodów do nieporozumień. Tymczasem *ad primum*: dzieło myśli p. Dembińskiego, pomimo wysiłku z jego strony, jest—jak stwierdza p. Mackiewicz — „bardzo mało oryginalne", „całe... wzięte .. od bolszewików", „skopjowane"; *ad secundum*: p. Dembiński napisał artykuł o treści komunistycznej, aczkolwiek sam go za taki nie uważał i w ten sposób nie pragnął być rozumiany. Ponieważ nie da się przypuścić, by p. Mackiewicz *coram publico* siebie samego oskarżał o nieumiejętność pojmowania rzeczy, które czyta, więc i tu pewnie winę widzi w niezdolności p. Dembińskiego do właściwego sformułowania na piśmie poglądów, które usiłował wyrazić.

Oczywiście jednak, nie kwestja tak osobliwie zachwalanych zdolności p. Dembińskiego zasługuje w tej całej sprawie na zainteresowanie. Zdarzenie godne jest uwagi z tego względu, że posiada charakter symptomatyczny, ogólniejszy, że ukazuje pewną postawę psychiczną, pewien sposób postępowania w stosunku do „młodych talentów", bardzo w Polsce dzisiejszej rozpowszechniony i dla stanu kulturalnego naszych czasów ogromnie znamienny. P. Mackiewicz, z właściwą sobie prostodusznością, temi słowy ten sposób postępowania objaśnia i jednocześnie uzasadnia:

„Kiedy zapytują mnie, poco nasza gazeta wydaje „Żagary", odpowiadam: „to jest miesięcznik idącego Wilna, a więc najmłodszego Wilna". Słyszałem kiedyś opowiadanie o żydzie we Lwowie. Ktoś był u tego żyda w jego antykwarni. Wpada mały, może 10-letni chłopiec, daje mu jakiś rysunek. Żyd oglądnął, pokiwał głową, wyjął kilka miedziaków, zapłacił chłopcu. „Poco pan to kupuje?" — pytano się żyda. — „Kilkadziesiąt lat temu" — odpowiada antykwarjusz — „wpadł do mnie taki sam mały chłopiec z obrazkiem. Ja go natychmiast za kark i precz ze sklepu. I pan wie, kto był ten chłopiec? Pan wie? — To był Grottger". — I od tego czasu biedny, nieznający się na rysunkach żyd kupuje za miedziaki wszystkie rysunki od małych chłopców".

P. Mackiewicz nie jest bynajmniej wyjątkiem. Ten kramikarski gatunek mecenasostwa w stosunku do młodych talentów jest u nas dzisiaj, zwłaszcza w światku literackim, nader upowszechniony, szczególnie odkąd rodacy antykwarjusza ze Lwowa poczęli coraz widoczniej nadawać ton w krytyce, w prasie, w salonach t. zw. elity. Nie posiadając osobistej wrażliwości artystycznej, własnego gustu, własnego, uporządkowanego świata pojęć, stanowiących miernik i podstawę przy ocenie, przyjmuje się i reklamuje się wszelkich „nowych", w obawie przed niepoznaniem się przypadkowo na przyszłym genjuszu. Teraźniejszy Maecenas, widząc „nowość" na rynku literackim, kombinuje: „Nu, możeby zaryzykować... Może to nie będzie nic warte, może kiedyś zostanie uznane za arcydzieło?.. Nu, niech stracę"...

Stwarza to konjunkturę bardzo pomyślną dla różnego rodzaju grafomanów, blagierów, tandeciarzy, bez trudności w tem położeniu znajdujących zbyt i poparcie dla swoich utworów. Rychło powstał też, naskutek masowej produkcji, nieznośny w swej jednostajności szablon „nowych kierunków": ciągle te same, bez jakiejkolwiek pomysłowości powtarzane „nowatorstwa" i „eksperymenty" w zakresie formy, w dziedzinie treści zaś „zuchwała śmiałość myśli niezależnej", obowiązkowo wyrażająca się w paru wezwaniach pacyfistycznych, rymem lub prozą odtwarzających takie mniej więcej rewelacyjne ideje, jakie ostatnio grupa starszych pań zaprezentowała Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie, w postaci memorjału, podpisanego ponoć aż przez siedem miljonów cnotliwych niewiast brytyjskich.

Ale dla prawdziwych talentów, dla dojrzewania myśli i form istotnie nowych, istotnie wartościowych, atmosfera taka napewno nie wytwarza warunków przyjaznych. Rzeczywisty twórca, będący zawsze zjawiskiem wyjątkowem, wyjątkowo też zostawiony będzie na boku, zaginie właśnie, niezauważony w rozgardjaszu tandeciarskiego sklepu [1]), w którym kupuje się „wszystko" i skąd nikogo się, chwyciwszy „za kark", nie wyrzuca. Zresztą on właśnie zdaleka będzie sklepik taki omijał. On nie zechce być traktowany jak egzotyczny papier giełdowy, kupiony na spekulację, niby jakieś tanio nabyte „udziały"

[1]) To zdarzyło się ostatnio z dziełem tak nieprzeciętnem, jak „Fortepian" Jerzego Szaniawskiego. Gdy szukając należytego wyrazu dla bogatej treści, zawartej w tym utworze, Szaniawski śmiało zerwał z pewnemi, przyjętemi przez konwenans sceniczny, szablonami, w zdezorjentowanych kramikach wiadomości literackich uznano ten fakt nie za oryginalność wybitnego talentu, ale poprostu za.. nieporadność.

w kopalni złota w Afryce, co to mogą okazać się bez wartości, ale mogą też, szczęśliwym trafem, przynieść miljony. Prawowity talent potrzebuje zrozumienia, wymaga środowiska, które wie, za co go chwali lub gani, bo wspólną z nim ma podstawę sądu i oceny, w imię określonego, jednako umiłowanego i wspólnie urzeczywistnianego ideału. Nie jest przypadkiem zgoła, że Jan Kochanowski, ofiarowując „Psałterz" biskupowi Piotrowi Myszkowskiemu, pisze mu w dedykacji: „jedeneś ty rozumiał", że temi samemi niemal słowy („tyś tak o nich rozumiał") uzasadnia Piotr Kochanowski przypisanie swego przekładu „Gofreda" Janowi Grabi na Tęczynie.

A już młode pokolenie napewno będzie szło z tymi, u których widzi Prawdę jedną, określoną, którzy wiedzą, czego bronią i co potępiają, nie spekulując na zdobycie stanowiska protektora „zdolnych" przedstawicieli sprzecznych i nawzajem wyłączających się idej i dążeń. Czyż p. Mackiewicz nie spostrzega zupełnie, co dzieje się w najmłodszem pokoleniu, czyż niczego widok ten go nie uczy?

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

POLSKA RÓWNIEŻ NALEŻY DO LICZBY tych krajów, gdzie studenci stanowią odrębny a ważki czynnik politycznego życia. Odkąd „wypadki majowe" przerwały ledwo nawiązaną i słabą nić rozwoju tradycji państwowej po odrodzeniu Polski, ważkość czynnika akademickiego zaznaczyła się w opinji ze zdwojoną siłą. W tygodniu ostatnim uwaga powszechna zwróciła się na przypadające aż w trzech uczelniach warszawskich wybory do zarządów Bratnich Pomocy. Wszędzie: na uniwersytecie, na politechnice i w szkole Wawelberga — zwycięstwo przypadło w udziale narodowcom. Najbardziej burzliwy przebieg wyborów i najbardziej symptomatyczny wynik był na uniwersytecie. Nowością, nieznaną dotąd w dziejach walnych zebrań na tej uczelni, było wybicie szyb i wrzucenie do sali obrad kamieni i butelek z gazem przez członków sanacyjnego „Legjonu Młodych". Było to przeniesienie na teren uniwersytecki najgorszych wzorów ze starszego pokolenia przez przedstawicieli (cząstki małej coprawda) pokolenia inteligencji najmłodszej, na której wychowaniu politycznem zaciążyły warunki polityczne ostatniego pięciolecia. Ta cząstka pokolenia najmłodszego jest już produktem niższej cywilizacji politycznej czasów, w których dorosła. Ten „państwowotwórczy" okres jest dla nich jedynym kawałkiem pamiętanej i rozumianej historji. Wskutek tego brak im zupełnie poczucia tradycji jakichkolwiek form państwowych. Przywykli, że nad głowami, jak stary rupieć—żyrandol, wisi zapowiedź „reformy konstytucji", dla niezreformowanej zaś nie nauczyli się w obozie sanacyjnym szacunku. Od rówieśników swoich w starych państwach Zachodu różnią się zupełną niezdolnością do wyobrażenia sobie, czem jest rola trwałych instytucyj w życiu narodu.

I na wspomnianem walnem zebraniu Bratniej Pomocy Uniwersytetu psychologja ta ujawniła się w próbie zdezorganizowania tej najstarszej akademickiej instytucji w Warszawie, próbie drobnej tylko z powodu drobnych rozmiarów grupy secesjonistów („Legjon Młodych").

DLACZEGO WALNE ZEBRANIA BRATNICH POMOCY na wyższych uczelniach odbijają się tak głośnym echem wśród społeczeństwa polskiego? Niewątpliwie ciekawe jest zawsze, co myśli młode pokolenie, ale główną przyczyną zainteresowania, ba, napięcia, z jakiem społeczeństwo czeka na wyniki obrad samopomocowych organizacyj młodzieży, jest paradoksalność życia politycznego Polski, a zwłaszcza sytuacja tej grupy, która w obecnej chwili trzyma w ręku ster rządów.

Grupa ta zdobyła władzę na drodze przewrotu. Fakt ten, jak również szereg czynów dokonanych w przeciągu sześciu lat rządzenia sprawia, że dla „sanacji" ciągłość władzy posiada zupełnie wyjątkowe znaczenie. W krajach parlamentarnych, a nawet w monarchjach, grupa rządząca, straciwszy zaufanie kraju, a w dalszej konsekwencji parlamentu lub króla, usuwa się na czas pewien w cień, przechodzi do opozycji i stara się na drodze pracy ideowej i społecznej, publicystyki, krytyki swych następców, przygotować sobie grunt do powrotu na dawne stanowisko z nowemi siłami. Dla dzisiejszych rządców Polski taki tryb postępowania jest niemożliwy. W razie ich upadku grozi im odpowiedzialność innej zgoła, niż w ustroju parlamentarnym, natury. Dlatego też z rozpaczliwą energją starają się — i te usiłowania wypełniają całkowitą niemal treść ich rządów—likwidować swych ewentualnych następców. Widzą ich przedewszystkiem w warstwie młodego pokolenia, tak różnego od ludzi, wychowanych w niewoli. Nieustanne pogrubianie się tej warstwy przez przyrost coraz to nowych zwolenników, budzi, jak przyznaje „Polska Zbrojna", trwogę w obozie rządzącym. Dlatego też co roku tak niesensacyjny i pozbawiony wszelkiego nawet cienia rewolucyjności fakt, jak zebrania samorządowych organizacyj młodzieży, odczuwany jest w obozie sanacyjnym, u tych wszechmocnych — zdawałoby się — panów sytuacji, jako polityczny dramat...

CZEGO CI LUDZIE NIE ROBIĄ, ABY OKIEŁZNAĆ MŁODZIEŻ? Puszczono w ruch cały aparat państwowy i szkolny. Zgodnie pracują nad „urobieniem" młodzieży ministrowie, kilku generałów, sejm, zjazdy profesorów sanacyjnych, kuratorja szkolne, dyrekcje gimnazjów, ba, nawet każdy komendant posterunku policyjnego. Wciąż używa się argumentu, że młodzież uległa wpływom niewoli. A przecież ten rocznik, który zdecydował w ostatnią niedzielę o tak miażdżącem zwycięstwie narodowców na uczelniach warszawskich, to młodzież, którą zamach majowy zastał w klasie trzeciej, w wieku lat dwunastu, która nietylko nie pamięta Apuchtina, ale nawet ministra Dobruckiego, która od lat sześciu oświecana jest ideologją państwową, obchodzi imieniny na 19 marca, a w roku zeszłym spełniała państwowotwórczą pracę wysyłania pocztówek na Maderę.

Dzisiejszy obóz sanacyjny zdobył rządy w organizacjach młodzieży warszawskiej w zimie roku 1926, gdy ministrami byli m. in. Stanisław Grabski, Zdziechowski etc. W roku następnym stosunek głosów na walnem zebraniu Bratniej Pomocy S. U. W. przesunął się na korzyść młodzieży narodowej. Kandydat jej przeszedł 428 głosami przeciwko 417. W roku następnym poprawił się stosunek, gdyż opozycja sanacyjna zmalała, ale liczba głosów narodowych polepszyła się nieznacznie. W roku 1929 kandydat narodowy skupił już 599

głosów, w 1930—633, w 1931—754, zaś w ostatnią niedzielę—860. Tak wzbiera fala młodzieży narodowej.

SUUM CUIQUE. Oddajmy, co się komu należy. Choć główną przyczyną oblicza politycznego młodzieży jest siła ideołogji narodowej, oczywistość sytuacji polskiej, naturalność instynktu narodowego, to jednak i „sanacja“ ma niemałą zasługę w rozbudzeniu tak silnego prądu wszechpolskiego wśród najmłodszych roczników młodzieży. Przecież ta młodzież szkolna, zmuszana do wypracowań piśmiennych na cześć ludzi, których poznaje dopiero z okazji „klasówki“, zalewana powodzią słów panegirycznych, wtłaczana gwałtem w pewne ramy, odpręża się poprostu na uniwersytecie, nietylko dlatego, że ma większą swobodę, ale i dlatego, że czuje się już dojrzała, że wyrosła już ze szkolnego mundurka, że czuje się pełnoprawną częścią społeczeństwa. I na to nie pomogą żadne ograniczanie autonomji uniwersyteckiej, Przeciwnie. Wrodzony naszej młodzieży zmysł humoru zainteresuje ją tą paradoksalną sytuacją, w której po jednej stronie stoi cały aparat państwowy z dwu i półmiljardowym budżetem, z politykującymi generałami, z drugim oddziałem, z plutokracją żydowską, ze szkolnictwem i policją, a po drugiej stronie—młodzież, przeciwstawiająca swym przeciwnikom dwoje rąk i głowę na karku. Przecież to wprost pociąga jako hazard, to czyni z młodzieży — niezależnie od niej samej — pierwszorzędny czynnik polityczny. Porywa to młodzież a jeśli może — nie z jej winy — wciąga czasem nad miarę w walkę polityczną, to z drugiej strony hartuje charaktery; zaprawia do przyszłej roli kierowników narodu i państwa.

WYWAŻENIE OKIEN I OBRZUCENIE KAMIENIAMI zgromadzonych w hallu uniwersytetu członków Bratniej Pomocy, czyn, jakeśmy wspomniali, w dziejach naszych instytucyj akademickich bezprzykładny, prasa sanacyjna przedstawiła, jako odpowiedź na... prowokację. To ulubione słowo naszej prasy politycznej, bez którego dziwnie łatwo jakoś obywa się Zachód Europy, — u nas „kluczowe“ — padło w „Gazecie Polskiej“ już na dzień przed zebraniem. „... Narodowy Komitet Wyborczy“—czytamy tamże (w n-rze z d. 21 II) „... na prezesa wysunął prowokacyjną kandydaturę p. Węglińskiego, znanego z antypolskch wystąpień zagranicą“. W dzień po zebraniu, we wtorek 23 b. m., półurzędówka sanacyjna pisała: „... endeccy przywódcy mogli spodziewać się wybuchu żywiołowego oburzenia w odpowiedzi na swoją prowokację...“ Czemuż kandydatura obecnego prezesa Bratniej Pomocy wydała się młodym sanatorom tak „prowokacyjna”—? P. Węgliński, bawiąc latem w Stanach Zjednoczonych, w wywiadzie prasowym omówił panujące w Polsce pod *régime*'m sanacyjnym stosunki, wywiadu udzielił redakcji jednego z pism polskich w Ameryce. Niepodobna zrozumieć, jak odmalowanie stosunków pod *régime*'m sanacyjnym mogło nie przypaść do smaku sanatorom. Jakto? więc kto mówi np. o Brześciu, ten „szkaluje Polskę zagranicą“? Więc sanatorzy lubią tylko w kraju głosić wieść o czynie państwowotwórczym? Więc „przetworzenie życia polskiego“ cała ta zmiana stosunków, to chlubny dorobek, o którym skromnie milczeć należy zagranicą? Zrozumiałe może być takie milczenie u krytyków: zamilczeć woli, kto „chlubę“ uważa za hańbę. Ale u entuzjastów i ludzi wiary w wartości sanacyjnego *régime*'u — to coś niepojętego, coś, co się nie da wytłumaczyć. Chyba, że się zastosuje dwie miary: i to, w czem raz szuka się chwały, innym razem nazwie się „prowokacją“. Tak postąpił np. mężny pisarz sanacyjny Juljusz Kaden-Bandrowski, współredaktor „Gazety Polskiej“. Solidaryzując się w kraju ściśle z obozem Brześcia, jako członek Pen-Klubu podpisał międzynarodową odezwę literatów, potępiających znęcanie się nad więźniami politycznymi... Ale nie sądziliśmy, aby młodych sanatorów stać było w podobnych wypadkach na męstwo Kadena.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wspaniały plon naukowy zjazdu im. Kochanowskiego udostępniony został niedawno w dwóch okazałych tomach Polskiej Akademji Umiejętności. Imponujące święto naszej kultury renesansowej, które zgomadziło w Krakowie, w czerwcu 1930 r. tłumny zastęp uczonych i miłośników staropolszczyzny, utrwaliło się na długo temi dwoma potężnemi woluminami niepospolitej zgoła wartości. Tom jeden, pod wezwaniem „Kultura staropolska“, zawiera prace, stanowiące w swym harmonijnym zespole syntezę Polski XVI wieku. „Pamiętnik zjazdu naukowego im. Jana Kochanowskiego“ objął referaty przedewszystkiem sekcji twórczości Kochanowskiego oraz wszelkie inne rozprawy, które z różnych powodów znalazły się poza zasięgiem ściśle określonej pod względem tematycznym „ Kultury staropolskiej“.

„Pamiętnik zjazdu“ publikuje protokóły posiedzeń sekcyj, a więc nietylko same referaty, ale także dyskusję, w jej całej, znakomitej rozciągłości, tak nieraz ciekawą i żywą. Na kartach pierwszego rozdziału znaleźć można historję zjazdu: jego przygotowanie, statystykę uczestników (1005 osób!), pisma gratulacyjne i. t. d. Utrwalono również wszelkie okolicznościowe przemówienia, z których niejedne (zwłaszcza profesorów: Rozwadowskiego i Dobrzyckiego) odbiegły daleko od poziomu przygodnych, jubileuszowych wynurzeń.

Uczestnicy zjazdu z zapałem powrócą do poszczególnych referatów, tak bardzo atrakcyjnych w żywej mowie prelegentów. Kierując się subjektywnym wyborem zaznaczamy niektóre z tych wykładów:

Ignacy Chrzanowski w odczycie inauguracyjnym umieścił Kochanowskiego „Na szczytach kultury staropolskiej“, niezawodnem spojrzeniem znawcy ogarnąwszy wszystkie elementy kultury umysłowej i estetycznej poety oraz jego czasów. Tadeusz Sinko wypowiedział wiele interesujących uwag na temat „Sumienia artystycznego Kochanowskiego“. Stanisław Pigoń odsłonił nieznaną całkowicie kartę w dziejach sławy pozgonnej autora „Trenów“, jego przygody i perypetje osobliwe a pouczające w sądach romantyków. Z referatów cudzoziemców zaciekawiały jedne (A. Martela, P. Panaitescu) erudycją i sumiennością badań, inne polotem i spojrzeniem iście galickiem (J. Langlade), najbardziej jednak rewelacyjny był odczyt znakomitego polonisty z Padwy, prof. Mavera, który wyjaśnił piękną polszczyzną przed audytorjum, oczytanemu dokładnie w pracach, ustalających „wpływy“, „zależności“ i „wzory“ Kochanowskiego,... na czem polega jego istotna i niezaprzeczona oryginalność. (T. M.)

*

Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie wydał zbiór drobnych utworów polskich z wieku siedemnastego, zebrany przez Karola Badowskiego pod tytułem „Polska Komedja Rybałtowska“. Te komedyjki i djalogi ludowe o jaskrawych akcentach satyrycznych są utworami przeważnie anonimowemi. Akademja Umiejętności w Krakowie na wiele lat przed wojną światową wydała sporo tomików średniowiecznej, domorosłej, swojskiej literatury, jednak w żadnym procentowym stosunku do mnogości średniowiecznych rękopisów, dotychczas na ogłoszenie i komentarze oczekujących w ciszy Biblioteki Jagiellońskiej, Biblioteki Zamoyskich, Czartoryskich, Krasińskich, Przeździeckich, Kórnika i Ossolineum, biblioteki Baworowskich i Wróblewskich, bibliotek miejskich i djecezjalnych. To trud i dzieło przyszłości.

Obecnie dzięki długoletniej i umiejętnej pracy lwowskiego uczonego dobyte zostały na jaw i w krytycznej formie ogłoszone drukiem utwory Muzy miejskiej, klasztornej i wiejskiej, które swego czasu swą groteskowością z wnętrza bud jarmarcznych i sal klasztornych bawiły pospólstwo. Inna, nie literacka była mowa tych utworów o kulawym rymie gwary miejskiej i wiejskiej, więc wydawca opatrzył je słownikiem i skorowidzem. Są w tym zbiorze krotochwilne żołnierskie djalogi, „Zwrócenie Matyasza z Podola", „Albertus z wojny", „Walna wyprawa do Wołoch", „Wyprawa plebańska", wszystkie pod pośrednim wpływem „Samochwała" Plauta, i inne, barwne obyczajowością, „Peregrynacja dziadowska", „Mięsopust", „Dziewosłąb dworski", wraz z komedją Baryki „Z chłopa król". Zmysł satyryczny, ton wzajemnego przedrwiwania, w dalekiem, niepewnem pokrewieństwie z komedją grecką, cechuje te utwory, obok innych, podanych w zbiorze, w tonie żałwych wyrzekań na biedę i troski codziennego życia. Świat ten ówczesnej prowincji, klechów, śpiewaków ulicznych, bakałarzów i wiejskich organistów, opowiedziany stylem sowizdrzalskim, wnosi z sobą pierwotność form i słownictwa. Nauce, której pionierami byli Brückner, Łoś i Windakiewicz, da wiele sposobności do dalszych spostrzeżeń i badań. Podlegną tym badaniom teksty polszczyzny zamąconej łaciną, dowolnie przekształconą, łaciną „kuchenną", i ulegną badaniom formy teatralnych przedstawień tej epoki. Nie zbraknie materjału. A także dzięki „Polskiej Komedji Rybałtowskiej" Badeckiego i wśród czytającej publiczności rozszerzy się widnokrąg historji narodu i jego kultury. (A. W.)

*

Tomik utworów Kazimiery Alberti „Pochwała życia i śmierci" (wyd. ks. św. Wojciecha) jest krokiem naprzód w rozwoju talentu tej poetki. Albowiem zbiorek poprzedni „Mój film" był raczej cofnięciem się z mety, osiągniętej w „Buncie Lawin". Całe szczęście, że owe „filmowe" impresje poetyckie — idące ślepo torem modnej u nas przed paroma laty frazeologji, bo nie natchnień — należą już do przeszłości. Przekonała się poetka widocznie, że nie należy być rezonansem cudzych powiedzonek (choćby westchnień do „Bombaju" i innych egzotycznych nazw, bo nie miejscowości), ale kroczyć trzeba tam, gdzie artystę naprawdę „same nogi niosą". W danym wypadku okazało się to rzeczą zgoła nietrudną:

Trzeba przejść tylko parę żydowskich uliczek,
minąć kościół i niski, kwadratowy cmentarz,
obrośnięty grabami, splątany wikliną,
a przywita mnie droga śródpolna i kręta...

Na tej drodze spotyka się tysiące rzeczy — codziennych, ale przez to właśnie ciekawych. Poznaje się poetka stopniowo z coraz to nowemi kwiatami i ziołami, odbywając niejako poglądową lekcję poetyckiej botaniki. Nie tak, jak odbywał ją w młodości swej Kasprowicz, gdy pisał owe krwawe, tragiczne ballady o florze swojskiej... Dla p. Alberti wakacyjno-wycieczkowy charakter owego kwiatobrania jest źródłem jeno zachwytów, jeno uśmiechów (czasem kokieteryjnych), a czasem tylko refleksyj. Wszystkie te nastroje i uczucia zwiewne są istotnie jak puch kwietny i jak motyle, a szczebiotliwe jak młode ptactwo (ale chyba nie jak „kolibry", bo te — patrz str. 35 — tylko wskutek jakiegoś złudzenia optycznego na ziemi polskiej ujrzała!!). Taki nastrój zdarza się i w utworach o podłożu religijnem. Wiersz o krzyżu na miedzy ma charakter jakby malarski, — jest w nim coś jakby z Vlastimila Hofmana. Finał zaś pierwszego cyklu brzmi wdzięcznie:

I modlić się Panu prosto, tak jak ptaki,
a zawsze myślałam, że to trudne takie...

Dopiero w cyklu „Pochwała śmierci" nuta się pogłębia, poważnieje. Z innej strony teraz poetka ujmuje swój stosunek do ziemi — tej ziemi, którą teraz znamy jeno po wierzchu, a kiedyś zgłębimy martwem swem ciałem. Wżywa się myśl autorki już teraz w tę ziemię, co dla człowieka „dom buduje w swem wnętrzu nasiennem"; wiąże się z tem refleksja niejedna o dziejach pośmiertnych człowieka, choć raczej jego ciała niż duszy — o tej bowiem poetka mniej mówi. O refleksjach tych twierdzi, że rodzą się tylko w małem miasteczku. Być może, że to prawda — choć nie dla każdego. Można być pustelnikiem wśród tłumów i lekkoduchem nawet w pustkowiu. W każdym razie oderwanie się od stołecznego gwaru i stołecznej paplaniny korzystnie wpłynęło na twórczość p. Alberti. Ugruntowało jej poetycką logikę i urozmaiciło jej szkicownik malarski. Z małego miasteczka wyłowiła też garstkę nowych ludzkich sylwetek — „starszych panien", które nakreśliła naprędce wyrazistemi pociągnięciami ołówka. — Całość zbiorku dopełnia cykl liryczny „Szumiąca wiola", oraz wiersz poświęcony Kasprowiczowskiej — opustoszałej — Harendzie. (J. B.)

*

W końcu marca b. r. ukażą się w druku 3 zbiory poezyj Bogdana Karpackiego p. t. „Hełm i frak", „Nieludzka komedja" i „Na oczach trybun". Książki te można zakupić w prenumeracie po zniżonej cenie 2.50 zł. za całość (późniejsza cena sprzedażna 4 zł.). Tomy zakupione w przedpłacie zawierać będą drukowaną listę prenumeratorów, oraz zostaną zaopatrzone własnoręcznym podpisem autora. Termin rozesłania tomów zakupionych: 22 marca b. r. Przedpłatę składać można, (lub nadsyłać) do dnia 20 marca w księgarni Michała Arcta, Warszawa, ul. Nowy Świat 35.

Sympatyczna próba samopomocy edytorskiej zasługuje na poparcie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W wydawnictwie Fratelli Bocca w Turynie ukazała się ciekawa, a zarazem poważna, traktowana naukowo książka, p. t. „*Re, Papi e Donne nella visione dantesca*" (Królowie, Papieże i Kobiety w wizji dantejskiej), której autorem jest Leopoldo Micucci. Jest to jakby rodzaj komentarza do tych miejsc „Boskiej Komedji", które wywoływały w ciągu wieków jaknajbardziej namiętne dyskusje i dotychczas jeszcze są w wielu wypadkach pod znakiem zapytania. Autor w niezmiernie ciekawy sposób roztrząsa powody, dla których Dante czuł niechęć, lub sympatję do tej lub owej postaci, opisanej w formie natchnionej. Również wpływy moralne i filozoficzne na powstanie poszczególnych fragmentów podane są przez autora w sposób, świadczący o jego głębokich studjach. (F. B.)

*

Pio Baroja w ostatniej książce, zatytułowanej „*Intermedios*" zgromadził swe bardzo dziwne, a raczej może dziwaczne wspomnienia literackie. Nie są one usystematyzowane, lecz rzucone bez wyraźnego planu, jakby poprostu wywołane dla własnego zabawienia się. Mimo chaotyczności obrazów, książka dowodzi znacznego bogactwa wyobraźni. Wśród szeregu poruszanych wspomnień szczególniejszą aktualnością wyróżniają się błyskotliwe rozważania na temat monarchizmu w Hiszpanji, oraz modnego tam w ostatnich czasach komunizmu. Baroja jest pisarzem o stylu feljetonowym, choć napisał liczne powieści, stosunkowo bardzo poczytne. Zanim się skrystalizował jego talent pisarski, uprawiał zawód lekarza. Utwory jego charakteryzuje ostra satyra, umiejętność zaciekawiania, wyczuwanie aktualności, szeroki horyzont zainteresowań, bystrość obserwacji, lotność wyobraźni. (F. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Związek Pol. Art Grafików urządza Salony co dwa lata. Ponieważ Związek ma charakter zawodowy, przeto w swoim obrębie mieści ilość artystów daleko większą od tej, z jakiej mogą się składać stowarzyszenia o typie wyłącznie ideowo-artystycznym. Z tego tytułu wystawy Związku mogłyby przedstawiać dość wiernie rozwój i poziom współczesnej naszej grafiki. Tak jednak nie jest z dwu zasadniczych przyczyn. Po pierwsze: Związek przyjmuje niemal wszystkich, zgłaszających się, z ojcowską wyrozumiałością traktując, często niski, poziom artystyczny. Po drugie: szereg wybitniejszych grafików z „Rytu" nie bierze udziału w wystawach Związku. Takie postępowanie, bez poważniejszych powodów, wygląda na małą demonstrację i nie jest zbyt lojalne, bo przecież wszyscy członkowie „Rytu" są zarazem i członkami Związku.

Tak więc wstrzymanie się wybitniejszych, a liczny udział słabszych sił mogą nadać wystawie oblicze, niezgodne z prawdą. Przypadkowość ta, niezależna nieraz od woli organizatorów, pozbawia Salony charakteru jednolitej całości i utrudnia sprawozdawcy próby jakichkolwiek wniosków natury ogólniejszej. Trzeba się ograniczać do wymienienia wystawców, a ponieważ jest ich dużo, o ni-

kim nie można powiedzieć zbyt wiele. Dlatego nie lubię pisać o Salonach. Aby sobie jednak jakoś sprawę ułatwić, posłużę się podziałem na techniki, z każdej wymieniając prace najwybitniejsze.

W dziele drzeworytu prym trzyma Stefan Mrożewski. On sam ma w sobie coś z Don Kiszota, którego ilustrował. Coś, co każe mu lekceważyć małostki życiowe, zaprzątające innych. Do każdego tematu przystępuje z odwagą cudowną, właściwą tylko dzieciom, które nie mędrkują jak dorośli i potrafją narysować wszystko.

Z prac Cieślewskiego najwięcej mi się podobał ekslibrys p. Cierlicy. Nie wiem, czy artysta przykłada doń taką wagę, na jaką ten drzeworycik bezwątpienia zasługuje. Jego układ w koncepcji wydaje mi się bardzo niebanalny i szkoda może, iż pod względem technicznym Cieślewski potraktował go z pewną beztroską.

Technika Chrostowskiego staje się coraz bardziej pomysłowa i bogata, nie wychodząc przytem nigdy poza ramy właściwe drzeworytnictwu. Pozatem warto wymienić drzeworyty p. Sopoćkowej i L. Tyrowicza.

P. Steller wystawił pracowite studja o charakterze szkolnym.

W dziale metalorytu panuje niepodzielnie starsze pokolenie grafików. Subtelne „suche igły" Brandla jak zawsze mają charakter kameralny. Z akwafortami wystąpili Stankiewiczówna i Siedlecki, a Półtawski oprócz kwasorytów dał z precyzją wykonany ekslibrys drzeworytniczy. Nestor naszego kwasorytnictwa G. Łopieński pokazał piękną mezzotintę.

Na zakończenie wracamy do młodych, stwierdzając z przyjemnością, że p. Mińska-Golińska robi ciągłe postępy w akwatincie. Jej św. Klara jest niemal bez zarzutu.

M. Nehring jest autorem smacznego suchorytu.

Dział litografji — to grafiki K. Sopoćko, żywe i zabawne.

*

Największa sala Zachęty mieści zbiór krajobrazów St. Żukowskiego wykonanych w czasach ostatnich i objętych wspólnym tytułem: „Niemen". Jak wiadomo, ten starszy już i zasłużony artysta kształcił się w Rosji i przebywał tam znaczną część swego życia, biorąc czynny udział w wystawach malarzy rosyjskich. Nic dziwnego więc, że na ukształtowanie się cech charakterystycznych jego twórczości sztuka rosyjska z epoki „Pieredwiżników" wpłynęła decydująco. Wpływ ten jednak zaciążył nad malarstwem Żukowskiego w sposób zbyt kategoryczny i z pod jego władzy nie zdołał się artysta nigdy uwolnić. Wagę tego zjawiska powiększa sam temat. Pejzaż, intepretowany w sposób, jak zwykliśmy obserwować u malarzy Rosjan— bez względu na okolicę — nabiera cech pejzażu rosyjskiego.

Paleta Żukowskiego jest dość chłodna, a koloryt posępny, dlatego też udają się Ż. najlepiej te motywy krajobrazowe, gdzie ze względu na porę roku, dnia (pogoda) można taką gamę kolorystyczną przeprowadzić. Natomiast próby efektów słonecznych (ciągle ta sama zieleń oliwkowa gęstwy drzewnej) wypadły mniej szczęśliwie.

*

Stojąc przed obrazami Pii Górskiej wchodzimy jakby w krąg ludzi dobrze wychowanych, gdzie wszystko jest rzeczą taktu. Tu nie można usłyszeć (czytaj: zobaczyć) nic rewelacyjnego, gdyż taka przesada przeczy dobremu wychowaniu; zato nie spotykamy się z niczem rażącem. Czujemy się bezpieczni, otacza nas wytworna dyskrecja łagodnie działających barw, póz, gestów. Wszyscy zaczynamy, mówić ściszonym głosem, uśmiechamy się grzecznie, ktoś naiwny mógłby sądzić, że za tym przyjemnym wyrazem twarzy kryje się uczucie. Uczucie? Ale gdzie znowuż!... To nie wypada. Kultura jest po to, abyśmy mogli w niej się umieścić jak w kokonie z waty. Wygodnie, miękko, spokojnie. Będzie nam tu cicho. I trochę smutno.

*

Stanisław Dybowski wystąpił z kolekcją pejzaży, dobrze świadczących o nowym postępie w rozwoju artysty. Nie poprzestając na dotychczasowych wynikach pracy, Dybowski pokusił się o wzbogacenie i ożywienie swej gamy kolorystycznej, dając szereg rozwiązań, często śmiałych i szczęśliwych. Okazał się w ten sposób indywidualnością nietylko ambitną, wytrwałą i pracowitą (o czem wiedziałem i poprzednio), ale i ruchliwą, gdyż będąc uczniem prof. Tichego nawykł raczej do tonacyj ściszonych i dyskretnych. Jako rodzaj utworów, jego prace są studjami z natury i tkwią w obrębie takiej, lub innej — jak się sam artysta wyraził—interpretacji. W szczeblach kolejnej drogi twórczej od interpretacji krok do kompozycji i do niej, mam nadzieję, przejdzie teraz Dybowski, pogłębiając zarazem zagadnienia fakturowe. Dotychczasowe założenia dekoracyjne jego płócien bynajmniej temu na przeszkodzie nie stają.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„DON KARLOS"

Po długiem panowaniu komedji wtoczyła się na scenę teatru Narodowego ciężka kolubryna — trzypiętrowa sztuka historyczna — poemat dramatyczny Fr. Schillera „Don Karlos", skrócony do 16 odsłon, w nowym przekładzie Kazimiery Iłłakowiczówny.

Nazywam rzecz trzypiętrową, mamy w niej bowiem: 1) swoją epokę (przekład, wykonanie, atmosferę), 2) epokę romantyzmu niemieckiego przed 150 laty, 3) epokę Filipa II z przed 360 lat. Mniejsza o legendę i rzeczywistość. (Jakże ona daleko od naszej sceny). Don Karlos, jak historycy zapewniają, był brzydki, ułomny, w mowie się zacinał; widzimy zaś na scenie młodego, pięknie mówiącego Osterwę. Tamten podobno w więzieniu odebrał sobie życie przez przejedzenie się, ten ginie w ogniu swego idealizmu prometejskiego.

Wszystko to należałoby w recenzji wypunktować tak, jak się to troi w duszy oświeconej publiczności dzisiejszej, ale niema na to ani miejsca, ani czasu.

Między drugiem piętrem, szyllerowskiem, a naszem przedział niewielki ze względu, że ta epoka jeszcze żyje wśród nasz. Są ludzie, którzy jeszcze teraz radzi grają „Zbójców" Schillera w życiu, nie tylko na scenie. Pokręciło się tylko w głowie, role się splątały. Schiller godził *in tyrannos*, dzisiaj „zbójcy" radzi idą im w służbę.

W wydaniu pism Schillera, dokonanem we Lwowie 1885 r. pod redakcją Zippera, znalazł się przekład „Don Karlosa" pióra K. Goniewskiego, najlepszy pono z dotychczasowych. Przytoczę dla przykładu urywek z aktu III tamtego przekładu i odpowiedni Iłłakowiczówny: Markiz Posa deklamuje do „tyrana" Filipa II:

„Pogardź ubóstwieniem
Dalekiem od Natury, co nas ściera w pyle.
Stań się wzorem odwiecznej Prawdy"!

U Iłłakowiczówny:

„O zerwij z tem nienaturalnem samoubóstwieniem,
Które jest zgubą, a stań się nam wzorem i natchnieniem".

Daremnie się to mówiło i wczoraj i dziś, ale w drugim wypadku myśl jaśniej wyrażona. Dawniej większe wrażenie robiły pojęcia oderwane: Natura, Prawda,..

A dalej. Goniewski:

„Rozpatrzcie są w cudownem wszechnatury prawie —
Na wolności oparta, jak na swej podstawie.
A jak ona jest swoją wolnością bogata!
W kroplę wody żyjątko rzuca twórca świata
I pozwala mu w ramach martwego istnienia
Rozkoszować swobodą!"

Iłłakowiczówna:

„Panie, spójrz dokoła po całej przyrodzie;
czyż jej wspaniałość nie jest na swobodzie
oparta? Stwórca boski nawet w kroplę wody
rzuca niedostrzegalne lecz żywe zarody,
rzuca je nawet w zgniliznę, byle miały wolę rowoju".

W powyższych przytoczeniach mamy pokazaną różnicę epok i przekładów. Nasi romantycy dlatego kochali Schillera, że bronił wolności. Rozbiór Polski tyrani motywowali jej „zgnilizną", on widział w niej „zarody, mające wolę rozwoju". Mówił nie do Filipa, lecz do Fryderyka Wielkiego. A nam się zdawało, że widzimy na scenie Solskiego ze sztuki Nowaczyńskiego — w roli Fryderyka.

Aktorzy pewno woleliby grać tę legendę, w starym przekładzie uproszczonym, jak oleodruk, i śpiewać role w romantycznem *belcanto*, nie rozumiejąc tego, co mówią. Nowoczesny przekład jest przekładem na ducha nowoczesnego, przekłada idee ogólne (jak to wyżej zaznaczyłem) na język psychologji; mowa ta nie śpiewa, lecz rozumuje.

Zespół teatru Narodowego jest doskonały poszczególnie, ale nie wszyscy pamiętają szkołę romantyzmu. Forsowano też trzypiętrową maszynę w rozmaity sposób. Najbardziej hiszpańscy po szyllerowsku byli: pp. Solski (król) i Węgrzyn (markiz Posa). Osobną grupę zmodernizowaną stanowili pp. Malicka (królowa) i Osterwa (Don Karlos). P. Malicka wytworna królowa z bajki, ślicznie zaznaczyła odcień kultury francuskiej (jako Valois). Inną znów grupę tworzyli pp. Lindorfówna (ks. Eboli), Socha (Alba) i Szymański (W. Inkwizytor).

Wystawa przepyszna. Z. W.

ZMARLI

Ś. P. LEON ROSTKOWSKI

ŚNIEG przyprószył mogiłę Leona Rostkowskiego. Jeszcze niedawno widzieliśmy na uniwersytecie jego czarną mocno srebrem przetykaną czuprynę, jeszcze nas witał serdecznie i prosto na wieczerzy wigilijnej w Bratniej Pomocy*).

Znaliśmy go niedługo. Zjawił się kilka lat temu na Uniwersytecie Warszawskim jako „polityczny" emeryt w pełni sił i zapału.

Pokochaliśmy go wkrótce, bo miał w sobie tę ogromną zacność i prawość, która zniewalała wszystkich, ceniliśmy Jego pracę, pytaliśmy często o radę, odwoływaliśmy się do jego niezawodnej pomocy w każdym kłopocie, rozmawialiśmy długo, a jednak rewelacją dla nas były przemówienia Jego rówieśników nad otwartym grobem, tak umiał ten człowiek zamilczeć o swoich pracach, o swych zasługach, o swem życiu, jakich doprawdy mało.

Urodził się w 1874 roku. Przybył w 1894 z Wilna do Warszawy na Uniwersytet, w którego kościuszkowskich murach polskie słowo musiało być zamieniane szeptem. Ale budził się już i odradzał duch młodzieży polskiej. Tworzyły się organizacje — naturalnie tajne — gdzie wciąż groziło wykrycie, procesy, więzienie... Istniał już Związek Młodzieży Polskiej, ów sławny „Zet", organizacja założona przez Zygmunta Balickiego, z której wyszedł Roman Dmowski, Zygmunt Wasilewski, Harusewicz, Jaroński, St. Surzycki, St. Dąbrowski i tylu innych, zasłużonych.

Leon Rostkowski przez długi czas pełnił funkcje skarbnika warszawskiego i w tym charakterze zasilał finansowo z drobnych składek lwowską „Tekę", pismo młodzieży narodowej, które odegrało wielką rolę wśród młodego pokolenia. Ale na tem nie ograniczała się działalność zmarłego. Gdy zorganizowała się Bratnia Pomoc, wszedł do niej z ramienia „Zetu" i przez bardzo długi czas pełnił z oddaniem tę samą niewdzięczną i żmudną funkcję skarbnika. Zmieniali się prezesi — on trwał. Z groszowych składek i ofiar, składanych z całem zaufaniem i prawie bez kontroli na jego ręce nietylko niejednego kolegę od nędzy uratował, ale zgromadził fundusz 10.000 rubli, sumę olbrzymią w ówczesnych warunkach. Bez biur, bez buchalterów, pokryjomu ciułał te grosze, tak potrzebne, tak ważne! Gdy ktoś nie spłacił na czas pożyczki, zjawiał się u niego Rostkowski w godzinach bardzo wczesnych i przypominał nieuchwytnemu w inny sposób koledze, że opieszałością pozbawia może obiadu innych.

Zebraną sumę 10.000 rb. przekazał potem z dumą i radością jawnej już Bratniej Pomocy na wolnym, polskim Uniwersytecie.

Po maju wrócił na swój Uniwersytet i wziął się z punktu do pracy. Stworzył biuro rewindykacyjne przy Bratniej Pomocy i ściągał zaległe pożyczki od swoich rówieśników i tych wszystkich, którzy, korzystając przed wojną z ofiarności koleżeńskiej, nie pamiętali, czy też nie chcieli pamiętać o swych zobowiązaniach i obowiązkach. W pracę tę wkładał cały swój zapał, taki sam jak trzydzieści lat przedtem. I nie było zdawkową uprzejmością to członkowstwo honorowe Bratniej Pomocy, którego nie udzielamy hojnie, umiemy odmówić w potrzebie, ale które dla mecenasa Rostkowskiego było tylko spłaceniem długu wdzięczności młodzieży obecnej wobec najszczytniejszego wzoru młodzieży dawniejszej.

Leon Rostkowski był przedstawicielem młodzieży z przed taty trzydziestu. Ale nigdy nie stał się „stary". Gdy kiedyś w rozmowie ktoś wspomniał o „starych" i „młodych", mecenas Rostkowski powiedział: „Ja się tam zawsze liczę do młodych".

Czuliśmy to i wiedzieliśmy o tem. Dlatego z zadumą stoimy nad jego grobem. Odszedł od nas kochany, drogi kolega. Odszedł tak cicho i dyskretnie jak żył. Zdawał się jakby szepnąć: „przepraszam", że sprawia zamieszanie i smutek swą śmiercią.

„Tacy skarbnicy nam potrzebni" — powiedział mi Jerzy Kurcyusz, gdyśmy na cmentarzu powązkowskim oddawali ostatnią przysługę temu czystemu jak łza człowiekowi.

My, którzy przyjmujemy dziedzictwo po dawnych „Zetowcach", którzy ich śladami chcemy budować Polskę, powiedzmy sobie: Mamy do dokonania bardzo wiele. Może uda nam się pracą naszą stworzyć z Polski wielką potęgę, zatrwożyć sąsiadów naszych, zadziwić Nią świat cały. To dla Polski. Dla siebie chciejmy jednego: móc iść na sąd Boski z tak podniesionem czołem i z tak ufnem, bo czystem sercem, jak nasz niezapomniany przyjaciel, towarzysz i opiekun — mecenas, sodalis i „brat zetowy" — Leon Rostkowski.

JAN MOSDORF

*) Wspomnienie to przedrukowujemy z nr. 4 „Akademika Polskiego" z r.b., solidaryzując się całkowicie z hołdem młodszego pokolenia, złożonym na grobie zasłużonego działacza narodowego. — Red.

NOWE KSIĄŻKI

Makuszyński Kornel. Człowiek znaleziony w nocy. Powieść. Geb. i Wolff.

Nowakowski Zygm. Przylądek dobrej nadziei. (nowela). Geb. i Wolff.

Guranowski Miecz. Kobiety biblijne. Geb. i Wolff.

Czekalski Eustachy. Duży wójt i mały Wojtuś. Nowela. Geb. i Wolff.

Conrad Joseph. Falk. Tłum. Aniela Zagórska. Warsz. 1932. Dom Książki Polskiej.

Wasylewski Stan. Zerwana kokarda. Poznań 1932. Wyd. Polskie.

Krzywoszewski Stefan. Teatr. Warsz. 1932. F. Hoesiok (3 komedje).

Morcinek Gustaw. Wyrąbany chodnik. Powieść nagrodzona na Śląskim konkursie liter. Cz. I. Cieszyn. Nakładem księg. „Dziedzictwa".

Cywiński St. Kartki z pamiętnika (1914 — 1920). Wilno 1931. (Odbitka z „Dzien. Wil.")

Gubrynowicz Bron. Do genezy „Jana z Tęczyna" J. U. Niemczewicza. Notatki. Lwów 1931. Ossolineum. S. 15.

Diwéky Adrjan. Węgrzy a powstanie listopadowe. Odczyt. Warsz. 1931. S. 23.

Lisiewiczkiewicz. U 33. Kraków 1931. Tow Miłośników książki. (Poezja).

Gałuszka J. A. Cienie orła (Poezje). Warsz. 1932. Geb. i Wolff.

Rudnicki Mikołaj. Powołania. — W Fiordach. (Poezje). Skład gł. u Geb. i Wolff.

Milski Janusz. Na odcinku. Opowieść dram. z r. 1920, trzy akt. Lwów 1932. Ossolineum.

OFENSYWA

LIŃSKI, BERLIŃSKI, OBERLIŃSKI

DZISIEJSZE t. zw. „towarzystwo“ warszawskie niema swojego Weyssenhoffa. Niema także swojej księżny Bibescu. Niema. Caillaveta i de Flersa. Wielka szkoda. Kiedyś, ongiś namawiałem tego biednego Boya, aby na jakiś czas przestał tłumaczyć i wziął się do komedji z naszej *society, new-society*. Nie czuł się na siłach. Szaniawski całkiem nie do tego. Właściwie powinien odkryć tę Golcondę Siedlecki. Ale czy można siedząc w Bydgoszczy trzymać rękę na pulsie stolicy? Oczywiście nie. A tu marnują się całe kopalnie szczerego złota. Co sezon, to kilka gotowych arcykapitalnych tematów. Żeby też któraś z tych ślicznych pań przynajmniej pisała w cichości swój pamiętnik, toby przynajmniej następna generacja miała z czego się pośmiać. Nie namawiam, ale tylko proponuję...

W każdej takiej nienapisanej komedji warszawskiej, nieistniejącej jeszcze spółki Caillaveta i de Flersa musiałoby się znaleść jednak miejsce dla pewnej zabawnej epizodycznej postaci.

Komedja nosiłaby tytuł prawdopodobnie albo: „Czwartki u posła Ekwadoru“, albo „Karjera Ryszarda Rosendufta“, albo „Garden Party u Pauliny Pasternak“, może „Ordynat już musi się żenić“, albo „François jako minister“, może nawet „Orchidee łańcuckie“, albo też „Opiekujcie się Basią!“ (*Otez toi Amelie)* względnie „Rumak lady Godivy“, albo też „Kanoniczki i Girlasy“...

Tak czy owak w każdej komedji takiej musiałby występować w epizodycznej roli niejaki „Pauliński“. Niektórzy twierdzą, że pod tem nazwiskiem ukrywa się spolaczony członek wiedeńskiej linji książąt Lichtenstein, niektórzy zaś upierają się przy tem, że to jest zwykły sobie, normalny Lejzorek Rojtszwanc.

Przyjaciele upewniają, że kolebka spolszczonego Lichtensteina stała tuż za „Żelazną Bramą“ ale nie tą... nad Dunajem, ale naszą, swojską, rodzimą, stołeczną. W każdej przyszłej komedji z życia warszawskiego *high-life* w pierwszem dziesięcioleciu musi się znaleść jednak epizodyczna postać takiego nie Leńskiego a Lińskiego („czemu ty Lenskij nie tancujesz?“). Bez tego Linskiego bowiem nic nigdzie odbyć się nie może. Każdy bal, raut, *dancing-bridge*, *garden-party*, recepcja u ambasadora X, śniadanie u ordynatowej Y, wesele hrabiego Z z fordanserką z restauracji „Pretorja“ na Pradze, chrzciny młodego księcia P, polowanie na dziki w puszczy Skolimowskiej, imieniny kanoniczki hr. Tarło... pan Liński wszędzie musi być, boby bez pana Lińskiego nawet się nie zaczęło. Otwierają podwoje do sali z bufetem..., pan Liński jest. Zaczynają uroczyście poloneza. pan Liński w kącie stoi. Stary hrabia wnosi zdrowie wojewody (zanim wstąpił do legjonów, był trębaczem w Straży Ogniowej), pan Liński notuje poważnie w notesiku. Tu siedzi na kanapie z metropolitą, tam rozmawia na boku z marszałkiem sanatu, tu księżna częstuje go herbatą, tam ambasadorowa Turkiestanu zapala mu papierosa. Od czasu do czasu ktoś jednak zapyta zaciekawiony: kto jest właściwie ten mały żydek? Odpowiadają półgłosem: *celebre ecrivain... politicien... journaliste... l'homme du Belvedere...* I znów dalej zapraszają. A choć nie zapraszają, to przychodzi przyjmowany owacyjnie *coqueluche* dyplomacji, zawsze wyfraczony, poważny, spokojny, pewny siebie... gentelmentel *mister* Liński. Nawet służba, która w pierwszych latach Republiki nieco z podełba i krytycznie patrzyła się na taką dziwną postać, podejrzewając, że przyszedł nie w porę z rachunkiem od „Rybkolu“ lub od *l'abbé* Gutnajera, już oddawna oswoiła się z *prince of* Lichtenstein i z rewerencją ściąga z niego fokowate futro. Cały zaś korpus dyplomatyczny przekonany jest święcie. że w stolicy Polski ta figurynka nie tyle porcelanowa ile Fajansowa odgrywa taką mniej więcej tajemniczą rolę, jak Jeroboam-Mandel-Rotszyld w Paryżu, jak Filip Sassoon w Londynie. Z profesji jest to reporter od baletu i z balów, rzeczoznawca zespołów girlsowych, tacjnnolog i taksator „artystyczny“ najpiękniejszego towaru żywego, w rezultacie *l'homme du monde* czyli człowiek, który rocznie zjada największą ilość majonezów w Warszawie i ściska dłonie najwytworniejszych mężczyzn i najbardziej uroczych kobiet naszej generacji.

Dlaczego ni stąd ni zowąd zajmujemy się w tej poważnej rubryce *typus*: Liński, skoro nigdy np. nie pisaliśmy o klejnotach warszawskiego Ogrodu Zoologicznego, albo o rarytasach „Muzeum Osobliwości“ *(Abnormitety)*? Oto z tej przyczyny, że takie oswojenie się, takie przyzwyczajenie t. zw. towarzystwa warszawskiego, taka „popularność“ czy amikononerja z *prince of* Lichtenstejn jest niesłychanie symptomatyczną i charakterystyczną i na dzisiejsze czasy i na dzisiejszą Warszawę, na *upper one tousand*. Takich Lińskich różnego formatu i różnej skali jest tu sporo. Niektóre Lejzorki Rojtszwance, poprzemieniawszy i imiona i nazwiska nie tylko już bywają wszędzie, ale u siebie przyjmują. A *haut volcé, creme la creme* ani to bankier wielki ani żaden „dyrektor“, ani prezes żaden, ale poprostu *Luftmensch*, a jednak przed jego domem stają, ku zdumieniu lokatorów *Rolls-Royce* i *Lincoln* i przywożą posłów, generałów, ministrów, elitę M. S. Z. Nikt nie pyta nikogo, skąd taki inny Liński... Berliński powiedzmy sobie Ober-Liński bierze pieniądze na takie recepcje? Bywa tam kawior, koniak napoleoński, napoleońska generalicja i najśliczniejsze kobietki Warszawy. Więc wystarczy. U Oustrica bywał też cały Paryż, u Castiglioniego cały Wiedeń. W gabinecie w studjo takiego Luftmensza Ober-lińskiego wiszą olbrzymie fotografje pana domu z Gandhim, z Rabindranath-Tagorem, z Kriszma-Murtim... Więc wystarczy. Musi być czemś ważnym! Jedni goście mówią, że ma olbrzymie „wpływy w Masonerji“, inni że w Lidze Narodów, a dopiero nad ranem ci, co za dużo wypili, po kątach pomrukują coś o koligacjach z handlarzami opium i koko. Wszyscy wiedzą, że to *Luftmensch*, ale z powodu, że n a p e w n o ż y d, (nie tylko sanator stuprocentowy), więc wszystko u niego bywa; zagraniczna dyplomacja przypuszcza, że jest... mężem zaufania Belwederu, a Polacy znów najgłębiej przekonani, że „rozporządza“ wprost olbrzymeimi wpływami na Wall-Street (Otto Kahn? Kahan? Kachane? Schiff? Wahrburgi?).

Karjera towarzyska takich Lińskich, Ber-Lińskich, Ober-Lińskich jest także jednem z tysiąca, z kroci symptomów rozkładu pewnych, właśnie wyższych warstw społecznych. Zdarzają się wśród tych *Luftmenschów* i bardzo przystojni i wytworni, dowcipni i intellektualnie wyrafinowani semici, grający dziś taką rolę w „serze“ aryjskim jak ongiś Grecy w zapadającem się *Imperjum Romanum* Nerona i Heliogabala. Ale bywają i całkiem pospolite kapcany, jak to mówią czwartej klasy, o dość wrednych frontach i fasadach, niczem a niczem nie odróżniające się od szajgeców ze sklepów na Nalewkach. I oto, gdy się widzi takiego *passons le mot* gudłajczyka rozmawiającego sobie *sans façon* całkiem swobodnie *par exemple* z... księdzem... Nuncjuszem, nie sposób nie oniemieć z podziwu nad genjuszem tej rasy, tak w penetracjach na wielką skalę jak i w takim ot drobiażdżku z „kroniki towarzyskiej“ wyraźnie się manifestującym.

W komedji nowoczesnej z życia *new society* warszawskiej „Pauliński“ znaleść się tedy powinien. O Oberlińskim natomiast to już całą komedję mógłby nam napisać na ten przykład... Giordano Bruno Winawer.

ADOLF NOWACZYŃSKI.

NA MARGINESIE

Kardynałowie polscy, ks. prymas Hlond i arcyb. Kakowski, chyba najmniej się tego spodziewali, że na ich orędzie, ogłoszone z powodu rządowego projektu reformy szkolnej, dostanie się im „miarodajna“ odpowiedź ze strony... p. Walerego Sławka, który w Sejmie zapowiadał trzeszczenie kości.

Odpowiada przedstawicielom kościoła w imieniu swojem, rządu, B. B. (a więc w imieniu x. Żągołłowicza, ks. Radziwiłła), w ten sposób: „Zastrzeżenia i obawy Waszych Eminencji... r o z w a ż y ł e m dokładnie... Obawy W. E. nie znajdują potwierdzenia ani w świetle analizy prawnej projektów obu ustaw, ani też w świetle istotnych tendencyj Rządu“.

Ano, skoro p. Sławek tak mówi, powołując się na swe rozważania, analizy i odpowiedzialność — to Kościół może być spokojny. Widocznie Epistopatowi się przywidziało...

Kipling słyszał w dżungli w pewnej gromadzie taki argument: „Najlepszym dowodem, że to prawda, jest to, że my to mówimy“. Taki też jest walor listu p. Walerego Sławka.

*

Cudzoziemiec z Zachodu pyta:

— Więc jakże to było? Ogół młodzieży uniwersyteckiej w gmachu swojej wszechnicy, w asystencji swego rektora dokonywa legalnie wyborów do swego samorządu. Jednocześnie jakaś grupa młodzieży, pod osłoną nocy podkrada się pod gmach i ciska przez okno kamienie oraz bomby gazowe, nie licząc się z powagą zebrania i z tem, że narazić może w razie paniki na straszną katastrofę... Co różni tę grupę młodzieży od tej większości, która obraduje w gmachu? Skąd ten wrogi stosunek?

— Jakby to powiedzieć... Jedni są „narodowcy“, drudzy „państwowcy“, jedni mają „wychowanie państwowe“, drudzy narodowe...

— Przepraszam pana — przerywa cudzoziemiec — Więc — na Boga — którzy z nich napadali? Co?!

Nie, mam tego dosyć! U was oszaleć można, zanim się coś zrozumie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.